

ФРЭНСИС

ЭЛИЗА

БЁРНЕТТ

MAŁA KSIĘŻNICZKA

Frances Eliza Hodgson Burnett

**Mała księżniczka**

«Public Domain»

## **Burnett F.**

Mała księżniczka / F. Burnett — «Public Domain»,

Wydawać by się mogło, że Sara Crewe urodziła się pod szczęśliwą gwiazdą: ma kochającego ojca, dostaje wszystko, czego tylko zapragnie, na pensji cieszy się specjalnymi względami, nauczyciele stawiają ją za wzór, a w dodatku jest inteligentna, miła i lubiana. Niestety, w dniu jej jedenastych urodzin los się odwraca. Ukochany ojciec zmarł, a jego majątek przepadł. Panna Minchin, dyrektorka szkoły, porzuca pozory sympatii i zaprzęga byłą podopieczną do pracy ponad siły. Dziewczynka stara się nie uskarżać na swój los. Obdarzona wrażliwością i wyobraźnią, snuje opowieści, które pomagają jej przetrwać. Nie wszyscy ją też opuścili. Kto potajemnie pomaga Sarze? Kim jest dżentelmen z Indii, jaką rolę odegra tresowana małpka i co stanie się z małą księżniczką? Ponadczasowa opowieść o przyjaźni i sile charakteru. Mała księżniczka to, obok Tajemniczego ogrodu i Małego lorda, jedna z najbardziej znanych powieści Frances Hodgson Burnett. Była wielokrotnie ekranizowana, także jako serial animowany.

© Burnett F.

© Public Domain

## Содержание

Sara	5
Lekcja francuskiego	11
Ermengarda	14
Lottie	18
Becky	23
Kopalnie diamentów	29
Конец ознакомительного фрагмента.	33

# Frances Hodgson Burnett

## Mała księżniczka

### Sara

W pewien mroczny dzień zimowy, gdy ulice Londynu zaległa żółtawa mgła, tak gęsta i ciężka, że w mieszkaniach pozapalano światła, a okna sklepowe oświetlone były, jak w nocy, lampami gazowymi, głównymi ulicami miasta wlokła się z wolna dorożka, w której jechała mała dziewczynka ze swym tatusem.

Siedziała, podwinawszy pod siebie nóżki, oparłszy się o ramię ojca i wielkimi oczyma o dziwnym, jakby niedziecięcym spojrzeniu, przyglądała się przez szybę przechodniom.

Po jej małej twarzyczce nikt by się nie spodziewał takiego spojrzenia. Było to spojrzenie dziewczynki dwunastoletniej, a Sara Crewe miała dopiero lat siedem. Mimo to – rzecz uderzająca – zawsze marzyła i dumiała o dziwnych jakichś rzeczach i nie mogła sobie przypomnieć takiego czasu, by nie rozmyślała o ludziach dorosłych i o świecie, do którego oni należą. Zdawało się jej, że już przeżyła długi, długi czas na tym świecie.

W chwili, o której mówimy, przypominała sobie podróż, odbytą niedawno wraz z ojcem, kapitanem Crewe. Myślała o wielkim okręcie, który ją wiozł z Bombaju, o laskarach<sup>1</sup>, przechadzających się po nim w milczeniu, o dzieciach, bawiących się na rozgrzanym pokładzie i o kilku młodych paniach, żonach oficerów, które wciągały ją w rozmowę i śmiały się z różnych jej powiedzeń.

Najwięcej zastanawiała się nad tym, jak to dziwnie plotą się ludzkie sprawy – gdy ktoś najpierw przebywał pod skwarnym niebem Indii, następnie znalazł się pośrodku oceanu, a wreszcie jechał w dziwnym jakimś powozie przez cudaczne ulice, gdzie w dzień było tak ciemno, jak w nocy. Wydało się jej to tak zagadkowe i intrygujące, że przysunawszy się do ojca odezwała się do niego cichym, tajemniczym głosem:

– Tatusiu! Tatusiu!

– Czego sobie życzysz, kochanie? – odpowiedział kapitan Crewe, przytulając ją mocniej do siebie i przyglądając się uważnie jej twarzyczce. – O czymże to rozmyśla moja Sara?

– Czy to już to **miejsce**, tatusiu? – szepnęła Sara, przytulając się do niego jeszcze bardziej.

– Tak, moja mała, właśnie to miejsce. Dojechaliśmy do niego nareszcie – odpowiedział ojciec, a choć Sara miała dopiero lat siedem, wyczuła smutek w tej odpowiedzi.

Miała wrażenie, że wiele lat upłynęło, odkąd zaczęła się oswajać z myślą o **miejscu**, jak zawsze nazywała Londyn. Sara straciła matkę zaraz po swym urodzeniu, więc nie pamiętała jej wcale i nie tęskniła za nią. Młody, przystojny, bogaty, a pieszczący się wciąż z nią ojczulek wystarczał jej za całą rodzinę. Bawili się zawsze razem i kochali się ogromnie. Wiedziała o nim, że jest bogaty, ponieważ słyszała, jak wyrażano się o nim w ten sposób, gdy myślano, iż ona tego nie słyszy; słyszała też, jak mówiono, że i ona będzie bogata, gdy podrośnie – nie rozumiała jednak, co to znaczy być bogatym. Mieszkała zawsze w pięknym *bungalow*<sup>2</sup> i nawykła widzieć liczną służbę, która nazywała ją *Missee Sahib*<sup>3</sup>, składała przed nią *salaamy*<sup>4</sup> i ustępowała jej we wszystkim. Miała dużo zabawek i zwierzątek

---

<sup>1</sup> *laskar* – indyjski marynarz. [przypis edytorski]

<sup>2</sup> *bungalow* – drewniany dom z werandami. [przypis edytorski]

<sup>3</sup> *sahib* (ar.) – pan, władca; tytuł grzecznościowy w Indiach. [przypis edytorski]

<sup>4</sup> *salaam* (ar.) – ceremonialne powitanie. [przypis edytorski]

oraz starą *ayah*<sup>5</sup>, która ją ubóstwiała. Sara z wolna sobie uświadomiła, że wszystko to posiadać muszą ludzie bogaci – poza tym jednak nie wiedziała więcej.

Jedną tylko rzecz niepokoiła ją w ciągu krótkiego jej życia – a mianowicie owo **miejsce**, do którego kiedyś miała się przenieść. Klimat Indii jest bardzo niezdrowy dla dzieci Europejczyków, przeto rodzice starają się wyprawić je stamtąd jak najprędzej – zazwyczaj do szkół w macierzystej Anglii. Sara widywała już odjazd innych dzieci i słyszała, jak ich rodzice rozmawiali o listach, jakie od nich otrzymywali. Wiedziała, że sama też będzie musiała wyjechać – a choć pociągały ją opowiadania ojca o podróży i o nowym kraju, jednakże trapiła się myślą, że ojczulek nie będzie mógł przebywać i z nią razem.

– A czy nie mógłbyś i ty pojechać ze mną do tego miejsca, tatusiu? – zapytała raz, gdy liczyła sobie pięć latek. – Czy nie mógłbyś i ty chodzić do szkoły? Ja bym ci pomogła w odrabianiu lekcji.

– Ależ nie zabawisz tam długo, córuchno – pocieszał ją ojciec. – Zamieszkas w pięknym domu, gdzie będzie dużo małych dziewczynek i będziesz się z nimi bawiła, a ja ci będę przysyłał mnóstwo różnych książek... i urosniesz tak prędko, iż niczym rok jeden zbiegnie ci ten cały czas, nim będziesz na tyle duża i mądra, że potrafisz wrócić do tatusia i zaopiekować się nim na stałe.

Lubiła myśleć o tych projektach. Kierownictwo spraw domowych w zastępstwie ojca – przejazdka konna i siadywanie na pierwszym miejscu podczas proszonych kolacji – rozmowy z ojcem i czytanie jego książek – wszystko to wydawało się jej czymś wprost wymarzoną, więc zdawała sobie sprawę z tego, że za cenę osiągnięcia tego szczęścia warto i godzi się pojechać nawet do owego **miejsca** w Anglii. Na towarzystwie małych dziewczynek bynajmniej jej nie zależało, ale obiecane **mnóstwo książek** byłoby dla niej prawdziwą osłodą doli. Książki bowiem lubiła nad wszystko w świecie i rozczytywała się w nich zawzięcie; pod wpływem tej lektury układała opowiadania o różnych pięknych rzeczach i opowiadała je samej sobie – a czasami i ojcu, który również znajdował w nich wielkie upodobanie.

– Tak, tatusiu – odezwała się potulnie. – Skorośmy się tu znaleźli, sądzę, że powinniśmy pogodzić się z losem.

Roześmiał się, ubawiony tym poważnym sposobem jej przemawiania, i ucałował ją serdecznie. Mała, tak w postępowaniu swym dziwna Sara, była dlań ważną, nieodzowną towarzyszką; zdawał sobie więc sprawę z tego, że będzie bardzo markotny i osamotniony, gdy powróciwszy do Indii i wszedłszy do *bungalowu*, nie zastanie w nim małej osóbkę w białej sukience. Przeto przycisnął ją silniej do serca, gdy dorożka wtoczyła się na duży, posępny plac, gdzie wznosił się dom, będący celem ich podróży.

Była to olbrzymia, posępna kamienica z czerwonej cegły, zupełnie podobna do innych, stojących w jednym rzędzie z nią, z tą tylko różnicą, że na jej bramie widniała mosiężna tablica z wyrytym czarnym napisem:

Miss Minchin  
wzorowy pensjonat dla panienek

– Jesteśmy już na miejscu, Saro – odezwał się kapitan Crewe, starając się nadać głosowi jak najweselsze brzmienie. Wysadził ją z dorożki, po czym weszli na schodki i zadzwonili do bramy.

Później Sarze niejednokrotnie przychodziło na myśl, że ta kamienica była jakoś bardzo podobna do miss Minchin. Była dostojna i porządnie umeblowana, lecz wszystko w niej było brzydkie – a nawet fotele wydawały się jakby kościste. W hallu wszystko było twarde i wypolerowane – nawet czerwona pucolowata twarz księżycowa, stanowiąca cyferblat<sup>6</sup> wysokiego zegara stojącego w kącie, miała wyraz sztywny, nazbyt gładki. Salon, do którego ich wprowadzono, zasłany był

---

<sup>5</sup> *ayah* (z port. *aia*) – służąca, opiekunka pracująca dla Europejczyków żyjących w południowej Azji. [przypis edytorski]

<sup>6</sup> *cyferblat* (daw., z niem.) – tarcza zegara. [przypis edytorski]

dywanem w czworokątny deseń, krzesła były kanciaste, a na ciężkim marmurowym gzymsie stał ciężki marmurowy zegar.

Gdy zasiedli na jednym z tych kanciastych, mahoniowych krzesel, Sara rozejrzała się szybko wokoło.

– Nie lubię tego wszystkiego, tatusiu – odezwała się. – Ale przecie i żołnierze, choćby najdzielniejsi, nie lubią iść do bitwy.

Kapitan się roześmiał. Był młody i lubił żarty, a dziwnych gawęd Sary mógł słuchać bez końca.

– Tak, moja mała – powiedział. – Cóż pocznę z sobą, gdy nie będzie miał kto przemawiać do mnie tak poważnie?

– Ale czemu te poważne rzeczy pobudzają cię do śmiechu? – zapytała Sara.

– Bo jesteś taka zabawna, kiedy o nich mówisz – odpowiedział, śmiejąc się jeszcze bardziej. Naraz<sup>7</sup> przestał się śmiać, przygarnął ją ramieniem i ucałował, a w oku jakby łza mu się zakręciła.

W tejże chwili weszła miss Minchin – osoba wysoka, posępna, dostojna i brzydka, jak własna jej kamienica. Miała szerokie, chłodne, rybie oczy i takiż uśmiech, który rozszerzył się jeszcze bardziej, gdy ujrzała Sarę i jej ojca. O młodym oficerze słyszała bardzo dużo dobrego od pani, która rekomendowała mu jej szkołę; między innymi słyszała, że był bogaty i że gotów był nie żałować pieniędzy na kształcenie swej córki.

– Miło mi będzie roztaczać opiekę nad tak ładną i obiecującą dziewczynką, panie kapitanie – odezwała się, głaszcząc rękę Sary. – Pani Meredith bardzo ją chwaliła. Grzeczna i mądra dziewczynka to dla mnie skarb nie lada.

Sara stała spokojnie, utkwivszy oczy w twarzy miss Minchin, i myślała znów o czymś dziwnym.

– Czemu ona nazwała mnie **ładną**? Nie jestem wcale ładna. Taka Belcia, córka pułkownika Grange, ma dołki w buzi, różowe policzki i długie złociste włosy. Ja mam krótkie czarne włoski i zielone oczy, przy tym jestem chuda i wcale nie powabna. Jestem jedną z najbrzydszych dziewczynek na świecie.

Myliła się jednak Sara, wydając taki sąd o swej urodzie. Wprawdzie nie była zgoła podobna do Izabeli Grange, słynnej w całym pułku ze swej piękności, w każdym razie miała w sobie wiele dziwnego uroku. Była osóbką smukłą, zgrabną, jak na swój wiek dość wysoką; twarzyczkę miała bystrą i miłą, włosy gęste, krucze, sfalowane nad samym czołem; duże, przedziwne jej oczy przysłonięte były długimi czarnymi rzęsami, a choć ich szarozielony kolor nie był w guście jej samej, jednakże podobał się wielu ludziom. Mimo wszystko uważała się za brzydką i pochlebne słowa nie zawróciły jej w głowę.

– Jestem tak brzydka, jak i ona... choć na inny sposób. Czemu ona tak się o mnie wyraża?

Z czasem, poznawszy bliżej miss Minchin, dowiedziała się, czemu tak się o niej wyraziła. W ten sam sposób przemawiała do każdego ojca i każdej matki, którzy przyprowadzili dziecko do jej szkoły.

Przyczyną umieszczenia Sary w zakładzie miss Minchin było to, że tutaj wychowały się w swoim czasie dwie córki lady Meredith, której rozsądkowi i doświadczeniu kapitan Crewe ufał bezgranicznie. Sara miała cieszyć się tu szczególnymi przywilejami, jakich nie doznawały inne pensjonarki. Miała dostać dla siebie oddzielną sypialnię i gabinetek, własnego kucyka i powozik oraz dziewczynę, przeznaczoną do jej osobistych posług, na miejsce *ayah*, czyli tubylczej piastunki, która usługiwała jej w Indiach.

– Nie mam najmniejszych obaw co do jej wychowania – mówił kapitan Crewe, z wesołym uśmiechem, głaszcząc rękę Sary. – Cała trudność w tym, by nie pozwolić jej przemęczać się nauką. Dziewczynisko wciąż tylko siedzi z noskiem wetkniętym w książki; ona ich nie czyta, ale wprost pożera... i nigdy nie może się nimi nasycić. Wciąż się rwie do książek dla dorosłych... do grubych tomów w języku francuskim, niemieckim czy angielskim... do historii, życiorysów i dzieł poetyckich.

---

<sup>7</sup> *naraz* (daw.) – nagle. [przypis edytorski]

Proszę więc ją odrywać od książek, gdy zmęczy się czytaniem. Niech wtedy pojeździ sobie na kucyku... albo niech wyjdzie na miasto, by kupić sobie nową lalkę. Ona powinna więcej bawić się lalkami.

– Tatusiu – odezwała się Sara – gdybym co parę dni kupowała sobie nową lalkę, prędko by mi się wszystkie znudziły. Z lalkami powinno się żyć w zażyłej przyjaźni. Moją serdeczną przyjaciółką będzie Emilka.

Kapitan Crewe i miss Minchin spojrzeli bacznie na siebie.

– Któż jest ta Emilka? – zapytała miss Minchin.

– Opowiedz nam, Saro – wezwał ją ojciec z uśmiechem.

W zielonych oczkach Sary widniał wyraz wielkiej powagi i spokoju, gdy odpowiadała:

– To lalka, której jeszcze nie dostałam, a którą tatuś dopiero mi kupi. Pójdziemy razem, żeby ją kupić. Dałam jej imię Emilki... a gdy tatuś odjedzie, będę miała w niej przyjaciółkę... i będę jej opowiadała o tatusiu.

Szeroki, rybi uśmiech miss Minchin znamionował w tej chwili naprawdę wielką przychylność:

– Jakież to niezwykle dziecko! – odezwała się. – Jakież to przemiłe maleństwo!

– Tak – potwierdził kapitan Crewe, przyciskając Sarę do serca. – Przemiłe maleństwo. Proszę opiekować się nią gorąco, miss Minchin.

Przez kilka dni następnych – aż do czasu, gdy ojciec wyruszył w podróż powrotną do Indii – Sara mieszkała wraz z nim w hotelu. Zwiedzając miasto, wstępowali razem do dużych sklepów i kupowali najrozmaitsze rzeczy; nie wszystkie z nich były Sarze potrzebne, to prawda, ale kapitan Crewe był człowiekiem młodym i prędkim, a córkę kochał ogromnie, więc pragnął, by miała wszystko, co tylko jej się podobało i co podobało się jemu samemu. W ten sposób wspólnymi siłami zgromadzili zapas odzieży, aż nazbyt wytwornej, jak na siedmioletnie dziecko. Były tam aksamitne sukienki, bramowane drogimi futerkami, sukienki haftowane i naszywane koronkami, kapelusze z wielkimi, puszystymi piórami strusimi, gronostajowe muffki i kołnierze, oraz pudełka pełne takiej ilości chusteczek do nosa, rękawiczek i jedwabnych pończoch, iż panienki sklepowe szeptały sobie w ucho, że ta dziwna dziewczyneczka o wielkich poważnych oczach musi być co najmniej zagraniczną księżniczką – może córką jakiego radży indyjskiego.

Wiele sklepów obeszli i przyjrzeni się wielu lalkom, dużym i małym, czarnookim i niebieskookim, ubranym i nie ubranym, zanim wreszcie znaleźli Emilkę.

– Ona musi być inna od innych lalek – mówiła Sara. – Musi przede wszystkim patrzeć inaczej, tak, jak gdyby słuchała tego, co ja do niej mówię. A u żadnej z lalek nie spotkałam takiego spojrzenia.

Po wielu nieudanych próbach postanowili iść pieszo i przyglądać się kolejno wszystkim wystawom sklepowym, rozkazawszy woźnicy jechać krok w krok za nimi. Minęli ze trzy składy zabawek, nawet nie zachodząc do środka i już dochodzili do niewielkiego, bynajmniej nierzucającego się w oczy sklepiku, gdy Sara nagle wzdygnęła się i ścisnęła mocno ramię ojca.

– Tatusiu! – zawołała. – To Emilka!

Rumieniec wystąpił na jej twarzyczkę, a w zieloniutkich oczkach miała taki wyraz, jak gdyby spostrzegła znajomą sobie dobrze i serdeczną przyjaciółkę.

– Właśnie tu na nas czekała! – rzekła. – Chodźmy do niej.

– Wiesz co, moja droga – odrzekł ojciec – mam wrażenie, że ktoś powinien nas jej przedstawić.

– Dobrze! Ty przedstawisz mnie, a ja ciebie – rzekła Sara. – Ale ja ją poznałam od razu, ledwo ją ujrzałam... więc może i ona mnie poznała.

I bardzo możliwe, że Emilka ją poznała; w każdym razie miała w oczach wyraz bardzo mądry, gdy Sara wzięła ją na ręce. Była to lalka dużych rozmiarów, lecz nie tak duża, by nie można jej było nosić na rękach; miała prawdziwe włoski, spływające dokoła niej falą złocistokasztanowych kędziorków, a nad jasnymi, siwymi oczkami kreśliły się dwa łuki gęstych rzęs, nie malowanych farbą, lecz prawdziwych.

– Tak jest – mówiła Sara, trzymając ją na kolanach i przyglądając się jej twarzy – tak jest, to Emilka!

Kupili więc Emilkę i natychmiast udali się z nią do sklepu z konfekcją dziecięcą, gdzie przymierzano dla niej ubranka tak wspaniałe, jakie miała Sara. Dostała więc sukienki koronkowe, aksamitne i muślinowe, chusteczki do nosa, futerka.

– Jej będzie u mnie tak dobrze, jak dziecku u kochającej mamusi – mówiła Sara. – Ja jestem jej mamusią, ale poza tym będę ją uważała i za przyjaciółkę.

Kapitan Crewe byłby się czuł również uradowany tymi sprawunkami, gdyby nie dręczyła go smutna myśl, że wkrótce rozłączy się ze swą najukochańszą, a tak w usposobieniu niezwykłą małą towarzyszką.

W tę noc wstał z łóżka i podszedłszy do córki, śpiącej z Emilką w objęciach, długo się jej przyglądał. Czarne jej włoski rozsypały się po poduszce, mieszając się ze złocistokasztanowymi kędziorkami Emilki. Obie ubrane były w obszywane koronkami koszulki nocne – i miały długie rzęsy, sięgające policzków. Emilka do tego stopnia wyglądała na prawdziwe dziecko, że kapitan Crewe czuł się bardzo uradowany jej obecnością. Westchnął i pokręcił wężą.

– Ej, mała córeczko! – szepnął. – Ty pewno nie wiesz, jak smutno będzie tatusiowi bez ciebie!

Rankiem zawiózł ją do pensjonatu panny Minchin i już ją tam pozostawił, bo nazajutrz miał odjechać. Oznajmił miss Minchin, że wszelkie rachunki regulować będą jego plenipotenci<sup>8</sup>, panowie Barrow i Skipworth, do których też należy się zwracać po wszelkie potrzebne informacje. Zalecił, by spełniano każdą prośbę Sary i obiecał pisywać do niej dwa razy w tygodniu.

Następnie udał się z Sarą do małego pokoiku gościnnego i pożegnali się z sobą serdecznie. Sara usiadła mu na kolanach i ujawszy rączkami brzeg jego surduta<sup>9</sup>, patrzyła w oczy ojca długo i przenikliwie.

– Czy chcesz zapamiętać sobie, jak wyglądam? – zapytał, gładząc jej włoski.

– Nie – odpowiedziała. – Ja przecież wszystko pamiętam. Mam ciebie całego w moim serduszku.

Objęli się ramionami i całowali tak gorąco, jak gdyby nie chcieli dopuścić do rozstania.

Gdy ojciec wsiadł do dorożki, Sara siadła na podłodze swego pokoiku i podparłszy główkę rękoma, patrzyła za odjeżdżającym, póki nie znikł za rogiem placu. Emilka siedziała obok niej i również wpatrywała się w dorożkę. Gdy nadeszła miss Amelia, siostra przełożonej, chcąc – z jej rozkazu – dowiedzieć się, co się dzieje z dziewczynką, znalazła drzwi na klucz zamknięte.

– Zamknęłam je umyślnie – odezwał się grzeczny, ale dziwny w brzmieniu głosik od wewnątrz. – Bardzo bym sobie życzyła zostać sama.

Miss Amelia była to osoba gruba i przysadzista, a wielce zahukana przez siostrę. Miała lepsze od niej serce, jednakże nigdy nie śmiała się sprzeciwić jej woli. Zeszła na dół, ogromnie zaniepokojona.

– Nigdy jeszcze nie widziałam tak śmiesznego, wprost nie po dziecięcemu usposobionego dziecka, siostruniu. Zamknęła się w pokoju i siedzi w nim cicho, jak trusia.

– Wolę to, niż żeby tupała nogami i krzyczała, jak to niektóre z nich umieją! – odpowiedziała miss Minchin. – Myślałam, że dziecko tak rozpieszczone, jak ona, podniesie wrzask na cały pensjonat. Bo też nie widziałam, by komu tak dogadzano, jak jej.

– Pomagałam jej w otwieraniu i rozpakowywaniu kufrów – ozwała się miss Amelia. – Czegoś podobnego nigdy nie widziałam. Sobole... gronostaje... walansjeńskie koronki. Niektóre suknie już widziałas. I cóż ty sądzisz o tym wszystkim?

– Sądzę, że to wszystko jest mocno śmieszne – odpowiedziała miss Minchin. – W każdym razie będzie się w tym ładnie prezentowała na czele szeregu, gdy w niedzielę zaprowadzimy dziewczynki do kościoła. Zaopatrzone ją we wszystko, jak małą księżniczkę.

---

<sup>8</sup> *plenipotent* – pełnomocnik. [przypis edytorski]

<sup>9</sup> *surdut* – rodzaj przedłużonej marynarki. [przypis edytorski]

W zamkniętym pokoiku na górze Sara wraz z Emilką siedziały na podłodze i wpatrywały się w róg ulicy, za którym zniknęła dorożka. Kapitan Crewe jeszcze przez pewien czas oglądał się za siebie, machał ręką i przesyłał całusy, choć już nie widział swej córki.

## Lekcja francuskiego

Gdy rankiem następnego dnia Sara weszła do sali szkolnej, wszystko co żyło, jęło<sup>10</sup> się jej przyglądać otwartymi szeroko, pełnymi ciekawości oczyma. Wszystkie uczennice – począwszy od Lawinii Herbert, która miała lat trzynaście i uważała się za dorosłą, a skończywszy na Lottie Legh, która dopiero doszła do czterech latek i była beniaminkiem szkoły – nasłuchiwały się już wielu wieści o nowo przybyłej. Wiedziały – i to z całą pewnością – że jest to uczennica, którą miss Minchin pragnie się popisywać i po której spodziewa się wielkich korzyści dla swego zakładu. Kilka dziewczynek widziało nawet daną jej do posługi dziewczynę, Francuzkę Mariette, która przybyła poprzedniego wieczoru. Lawinia przechodziła koło pokoju Sary i przez otwarte jego drzwi widziała, jak Mariette rozpakowywała paczkę, nadesłaną późnym wieczorem ze sklepu.

– Było w niej pełno spódniczek, naszywanych suto<sup>11</sup> koronkami – szeptała w ucho swej koleżanki Jessie, schylonej nad podręcznikiem geografii. – Słyszałam, jak miss Minchin mówiła do miss Amelii, że to aż śmieszne – stroić tak małą dziewczynkę. Moja mamusia zawsze mówi, że dzieci powinny się ubierać skromnie. Jedną z tych spódniczek ma teraz na sobie; widziałam, gdy siadała.

– Ona ma jedwabne pończochy – szepnęła Jessie. – A jakie małe nóżki! Nigdy nie widziałam tak małych nóżek.

– Phi! – odęła się Lawinia. – To tylko fason jej bucików. Moja mamusia zawsze mówi, że nawet duże nogi mogą się wydawać małe, jeżeli szewc jest zręczny. Mnie się ona nie wydaje ładna. Jej oczy mają tak dziwny kolor.

– Ona nie jest ładna, jak to nieraz bywają ładne dziewczynki – odpowiedziała Jessie, rzucając ukradkowe spojrzenie na salę. – Ale jest w niej coś takiego, co ludzi pociąga. Ma rzęsy straszliwie długie, a oczy prawie zielone.

Tymczasem Sara siedziała spokojnie, czekając, aż jej oznajmią, co ma robić. Dano jej miejsce w pobliżu stolika miss Minchin. Utkwione w nią liczne spojrzenia bynajmniej nie zbiły jej z tropu. Była wszystkim zaciekawiona, więc z całym spokojem patrzyła także na dziewczynki, które jej się przyglądały; zastanawiała się, o czym też one myślą – czy lubią miss Minchin, czy interesują się lekcjami i czy która z nich ma takiego tatusia, jak ona. O tym tatusiu miała dziś rankiem dłuższą rozmowę z Emilką.

– On teraz płynie po morzu, Emilko – mówiła do niej. – Teraz my dwie powinnyśmy serdecznie się przyjaźnić i opowiadać sobie różne rzeczy. Patrz na mnie, Emilko. Oczki masz prześliczne... o, gdybyś jeszcze umiała mówić!

Jednym z fantastycznych urojeń, do których Sara taką żywiła skłonność, było owo ukojenie, jakiego doznawała, łudząc się, że Emilka żyje, a tym samym słyszy i rozumie wszystkie jej słowa. Toteż gdy Mariette ubrała ją w granatowy mundur szkolny i przewiązała jej włosy granatową wstążką, dziewczynka natychmiast podeszła do Emilki, usadowionej na krzeselku, i podała jej książkę.

– Możesz to czytać, póki nie wrócę ze szkoły.

Widząc zaś, że Mariette spogląda na nią z zaciekawieniem, wyjaśniła poważnie:

– Ja wierzę, że lalki potrafią wykonać wiele rzeczy, tylko nie dają tego poznać po sobie. Jest rzeczą bardzo możliwą, że Emilka umie czytać, mówić i chodzić... ale robi to tylko wtedy, gdy ludzie wyjdą z pokoju. Jest to jej tajemnica. Gdyby ludzie wiedzieli, że lalki potrafią wykonywać różne czynności, zaraz by zaprzęgli je do roboty; dlatego to one zapewne zobowiązały się nawzajem do sekretu. Póki będziesz w pokoju, Emilka będzie siedzieć spokojnie i patrzeć się przed siebie; ale gdy wyjdiesz, ona na pewno zacznie czytać albo podejdzie do okna i będzie patrzyła na ulicę;

---

<sup>10</sup> *jąć* (daw.) – zacząć. [przypis edytorski]

<sup>11</sup> *suto* – obficie. [przypis edytorski]

skoro jednak posłyszysz czyjeś kroki, pobiegnie czym prędzej z powrotem na dawne miejsce i będzie udawała, że siedziała tam przez czas cały.

– *Comme elle est drôle!*<sup>12</sup> – rzekła do siebie Mariette i zszedłszy na dół, opowiedziała o wszystkim klucznicy; jednakże od tej chwili poczuła wielką sympatię dla tego dziwnego dziewczątka, które miało twarzyczkę tak rozumną i było tak uprzejme. Mariette dotychczas miewała do czynienia z dziećmi, które bynajmniej nie odnosiły się do niej grzecznie; przeto teraz z zachwytem zwierzała się klucznicy, jak to Sara przemawia do niej: „bądź łaskawa, Marietko”, „dziękuję ci, Marietko” – traktując ją zupełnie niby jaką dystygowaną damę.

– *Elle a l'air d'une princesse, cette petite!*<sup>13</sup> – zakończyła, wielce zadowolona z nowej pani i nowego miejsca.

Gdy Sara przesiadła już parę minut w swej ławce, oglądana z zaciekawieniem przez koleżanki, nagle nad katedrą ukazała się miss Minchin.

– Moje dziewczynki! – przemówiła z dziwnie dostojnym wyrazem oblicza. – Pragnę wam przedstawić nową koleżankę. – (Wszystkie uczennice powstały, a Sara poszła za ich przykładem). – Spodziewam się, że będziecie dobre i uprzejme dla panny Crewe, która przybyła do was z bardzo daleka, bo aż z Indii. Zaraz po ukończeniu lekcji powinnyście się z nią zaznajomić.

Uczennice ukłoniły się ceremonialnie, a Sara odwzajemniła się im ukłonem, po czym usiadły i znów zaczęły się sobie przyglądać.

– Saro – odezwała się miss Minchin tonem, jakiego używała w szkole. – Chodź tu do mnie.

Wyjęła z pulpitu jakąś książkę i zaczęła przewracać stronicę. Sara podeszła grzecznie ku katedrze.

– Ponieważ twój tatuś zgodził Francuzkę na pokojówkę dla ciebie – odezwała się miss Minchin – przypuszczam, że życzył sobie, byś szczególnie przyłożyła się do nauki języka francuskiego.

Sara poczuła się trochę nieswojo.

– Ja myślałam – odpowiedziała – że tatuś dlatego ją zgodził, że... że myślał, iż ja ją polubię, proszę pani.

– Mam pewne obawy – odezwała się miss Minchin, uśmiechając się cierpkawo – że jesteś dziewczynką bardzo rozpieszczoną, która sobie wyobraża, iż wszystko czyni się tylko dla dogodzenia jej upodobaniom. Ja jestem zdania, że twój tatuś sobie życzył, żebyś wzięła się do nauki francuskiego.

Gdyby Sara była nieco starsza lub mniej skrupulatna na punkcie grzeczności wobec innych, potrafiłaby wyjaśnić w kilku słowach całą sprawę; tymczasem jednak nie zdobyła się ani na jedno słówko – i tylko gorący rumieniec oblał jej policzki. Miss Minchin była osobą bardzo stanowczą i bezwzględną, a przy tym tak głęboko przekonaną o tym, jakoby Sara nie miała pojęcia o francuzczyźnie, iż wszelkie wyprowadzanie jej z błędu mogło się wydawać niemal niegrzecznością.

W istocie jednak język francuski był Sarze znany niemal od kolebki. Jej matka była Francuzką, a kapitan Crewe przez pamięć ukochanej żony, którą stracił tak wcześnie, rozmawiał często w tym języku w obecności córki, a nawet z nią samą – jeszcze gdy była małym pędrakiem...

– Ja nigdy nie uczyłam się naprawdę francuskiego, ale... ale... – zaczęła, chcąc się wytłumaczyć.

Jednym z najpoważniejszych strapien miss Minchin była nieumiejętność mówienia po francusku. Fakt ten, który ją bolał dotkliwie, usiłowała zataić przed ludźmi, nie miała więc ochoty wdawać się w dyskusję z nowicjuską i narażać się na jej niedyskretne zapytania.

– To wystarczy – odpowiedziała z kwaśną uprzejmością. – Skoro się nie uczyłaś, musisz niezwłocznie przystąpić do nauki. Za parę minut przyjdzie nauczyciel francuskiego, monsieur Dufarge. Weź tę książkę i rozejrzyj się w niej, zanim pan profesor nadejdzie.

---

<sup>12</sup> *Comme elle est drôle!* (fr.) – Jaka ona śmieszna! [przypis edytorski]

<sup>13</sup> *Elle a l'air d'une princesse, cette petite!* (fr.) – Ona zachowuje się jak księżniczka, ta mała! [przypis edytorski]

Sara, cała w pasach, wróciła do swej ławki i otworzyła książkę. Spojrzawszy na pierwszą stronicę, starała się zachować poważny wyraz twarzy. Wiedziała, że niegrzecznością byłoby uśmiechać się – a postanowiła sobie święcie, że nie okaże się niegrzeczną; w każdym razie bawiło ją to w duchu, że kazano jej uczyć się, że *le père* oznacza **ojca**, a *la mère* – **matkę**.

Miss Minchin spojrzała na nią badawczo.

– Widzę, Saro, że wodzisz oczyma po klasie, zamiast patrzeć w książkę. Szkoda, że nie okazujesz zapału do języka francuskiego.

– Język ten bardzo mi się podoba – odpowiedziała Sara, próbując znów zabrać głos – ale...

– Nie powinnaś mówić „ale”, gdy ci coś rozkazują przełożeni. Patrz w książkę.

Sara wlepiła wzrok w książkę – ale już ani się nie uśmiechnęła, nawet wtedy, gdy wyczytała, że *le fils* oznacza **syna**, a *le frère* – **brata**.

– Gdy przyjdzie monsieur Dufarge – myślała – już ja mu wszystko wytłumaczę.

Niebawem nadszedł monsieur Dufarge, miły, inteligentny Francuz w średnim wieku. Ujrawszy Sarę, niby to pogrążoną w lekturze rozmówek francuskich, zainteresował się tym jej skupieniem i grzecznością.

– Czy to nowa uczennica dla mnie, Madame? – zapytał przełożonej. – Sądzę, że będę miał z niej pociechę.

– Jej ojciec, kapitan Crewe, bardzo pragnie, by rozpoczęła naukę języka francuskiego. Boję się jednak, że ona ma do francuzczyzny jakieś dziecinne uprzedzenia... bo nie bardzo się garnie do nauki – odpowiedziała miss Minchin.

– Wielka szkoda, mademoiselle – odezwał się monsieur Dufarge uprzejmie do Sary. – Może, gdy zaczniemy razem się uczyć, potrafię panią przekonać, że jest to język bardzo piękny.

Sara powstała. Czuła się tak zrozpaczona, jak gdyby popadła w niełaskę. Rozwarłszy szeroko swe zielone oczka, spojrzała nimi szczerze i prostodusznie w twarz monsieur Dufarge'a; wyczytała w niej, że on pojmie, o co chodzi i po prostu zaczęła w dźwięcznej płynnej francuzczyźnie tłumaczyć mu rzecz całą. Zwierzyła się więc, że madame nie zrozumiała jej intencji; prawdą jest, że nie uczyła się francuskiego na lekcjach i z książek, ale tatuś i inni ludzie często mówili do niej tym językiem, tak iż umiała nim mówić i pisać – jak rodowitą swą mową. Był to przecież rodzinny język jej matki, która umarła po jej urodzeniu; dlatego to i tatuś – i ona za jego przykładem – lubili się nim posługiwać.

W końcu Sara zapewniła monsieur Dufarge'a, że bardzo chętnie będzie się uczyła wszystkiego, czego on zechce ją uczyć, a jeżeli zabierała głos wobec przełożonej, to jedynie w tym celu, by jej wyjaśnić, iż wszystkie słówka w podręczniku zna już od dawna.

W chwili, gdy Sara zaczęła mówić, miss Minchin drgnęła i jęła niemal z oburzeniem wpatrywać się spod okularów w uczennicę. Monsieur Dufarge uśmiechał się z wielkim zadowoleniem, słysząc w ustach tego dziecka czysty i uroczy dźwięk ojczystej swej mowy, który myśl jego przeniósł hen do kraju lat młodzieńczych – z dała od ciemnego, mglistego Londynu. Gdy Sara skończyła mówić, spojrzał na nią z rozczeniem i odebrawszy od niej podręcznik, odezwał się do miss Minchin:

– Ach, madame, toż ja niewiele już ją mogę nauczyć! Ona się nie uczyła francuskiego, ale mówi jak rodowita Francuzka. Akcent ma wyborny.

– Powinnaś była mi to powiedzieć – zawołała miss Minchin, mocno urażona.

– Ja... ja chciałam... – odpowiedziała Sara – ale zdaje mi się, że zaczęłam niewłaściwie.

Miss Minchin zdawała sobie dobrze sprawę, że zawiniła, nie dając dojść do słowa dziewczynce. Gdy więc spostrzegła, że inne dziewczęta przysłuchiwały się całej scenie, a Lawinia i Jessie chichoczą za książką, wpadła w wielki gniew.

– Cicho, panienki! – odezwała się surowym głosem, stukając w pulpit. – Cicho mi zaraz!

Od tej chwili poczuła wielką niechęć do swej wzorowej uczennicy.

## Ermengarda

Gdy pierwszego dnia lekcji Sara siedziała koło miss Minchin, obserwowana pilnie przez wszystkie koleżanki, zauważyła pomiędzy nimi małą dziewczynkę, mniej więcej w tym samym wieku, która wpatrywała się w nią uporczywie dwojgiem jasnobłękitnych, nieco tępawych oczu. Była to tłusta dziecina, bynajmniej nie wyglądająca na zbyt mądrą, o buzi nadąsanej, ale poczciwej. Jej lniane włosy splecione były w gęsty warkocz; koniec jego przerzuciła sobie przez ramię i gryzła wstążkę, a podparłszy się łokciami o pulpit, przyglądała się z podziwem nowicjusze.

Gdy monsieur<sup>14</sup> Dufarge zaczął przemawiać do Sary, na twarzyczce tłuścioszki odmalowało się lekkie przerażenie; gdy zaś Sara, wpatrzywszy się w nauczyciela dziecięcymi, szczerymi oczkami, odpowiedziała mu po francusku, aż podskoczyła na ławce i poczerwieniała od lekkiego zdumienia. Ponieważ sama wiele łez wylała, czyniąc rozpaczliwe wysiłki, by zapamiętać, że *la mère* oznacza **matkę**, a *le père* – **ojca**, przeto nie chciało się jej w główce pomieścić, że jakieś dziecko, równe jej wiekiem, zna nie tylko te dwa wyrazy, ale i mnóstwo innych, które potrafi wiązać z sobą w całe zdania bez najmniejszego wysiłku.

Tak wytrzeszczała oczy i tak mocno przygryzała wstążkę warkocza, że ściągnęła na siebie uwagę – a co za tym idzie – i gniew miss Minchin.

– Panno St. John! – upomniała ją surowo przełożona. – Cóż to za zachowanie? Zdejm łokcie z pulpitu! Wyjmij z ust wstążkę! Siadaj mi zaraz porządnie!

Dziewczynka znów poderwała się z ławki, gdy zaś Lawinia i Jessie poczęły chichotać, zaczerwieniła się jeszcze bardziej – a w jej biednych, dziecięcych i tępawych oczkach poczęły gromadzić się łezki. Sara, ujrawszy to, poczuła naraz wielką sympatię dla swej rówieśniczki i zapragnęła być jej przyjaciółką.

– Gdyby Sara była chłopakiem i żyła kilkaset lat temu – mawiał o niej ojciec – na pewno by jeździła z dobytym mieczem po kraju, broniąc i ratując uciśnionych. Ona nie może patrzeć spokojnie na ludzki smutek i krzywdę.

Dlatego to Sara upodobała sobie małą, grubą St. John i przez całe przedpołudnie wciąż spoglądała w jej stronę. Zmiarkowała<sup>15</sup> od razu, że tej dziewczynce z trudnością przychodzą lekcje i że daleko jej do tego, by miano ją uważać za celującą. Szczególnie lekcja francuskiego była dla niej udręką. Jej wymowa wywoływała mimowolny uśmiech nawet na dobrotliwej twarzy pana Dufarge, a Lawinia, Jessie i inne zdolniejsze uczennice pozwalały sobie wręcz na śmiechy i drwinki. Ale Sara nie śmiała się bynajmniej, owszem przybierała taką minę, jak gdyby nie słyszała, że panna St. John przekreśla *le bon pain*<sup>16</sup> na **libonpan**. Zachowanie się koleżanek przejmowało ją oburzeniem.

– Z czegoż one się śmieją!? – szepnęła przez zęby, schyliwszy się nad książką. – Przecież w tym nie ma nic śmiesznego!

Po lekcjach uczennice zebrały się gromadkami i poczęły gawędzić. Sara odszukała pannę St. John, siedzącą smutno na parapecie okna, podeszła do niej i zapytała:

– Jak się nazywasz?

Od tego pytania małe dziewczynki zaczynają wszelką znajomość, jednakże w słowach Sary był ton szczególny, uderzający ludzi swą serdecznością i uprzejmością.

By zrozumieć zdumienie panny St. John, należy sobie przypomnieć, że każda nowa uczennica jest przez czas pewien jakąś nieokreśloną istotą dla swych koleżanek; o żadnej zaś chyba nowicjusze nie opowiadano w całej szkole tylu dziwnych – często sprzecznych z sobą – historii, co o Sarze.

<sup>14</sup> *monsieur* (fr.) – pan. [przypis edytorski]

<sup>15</sup> *zmiarkować* (daw.) – zorientować się, zauważyć. [przypis edytorski]

<sup>16</sup> *le bon pain* (fr.) – dobry chleb. [przypis edytorski]

Gawędy te przeciągnęły się aż do późnej nocy. Koleżanka, która miała wózek, kucyka i służącą, a przybyła aż z dalekich Indii – była to znajomość nie lada.

– Nazywam się Ermengarda St. John – odpowiedziała dziewczynka.

– A ja się nazywam Sara Crewe – przedstawiła się Sara. – Masz bardzo ładne nazwisko... zupełnie jak z jakiejś powieści.

– Podoba ci się? – zawstydziła się Ermengarda. – A mnie... mnie podoba się twoje nazwisko.

Największym strapieniem, ba, klęską, w życiu Ermengardy St. John było to, że miała ojca uczonego, który umiał wszystko: mówił siedmioma czy ośmioma językami, a w swej bibliotece posiadał tysiące tomów, których treść znał niewątpliwie na wylot. Człowiek taki zwykł żądać od swego dziecka, by było obeznane przynajmniej z treścią podręczników szkolnych, a w każdym razie sądził, że powinno pamiętać parę zdarzeń z historii i umieć napisać wypracowanie francuskie. Toteż pan St. John nie mógł zrozumieć, czemu jego córka – zamiast odznaczać się w nauce – okazuje we wszystkim stałą i niewątpliwą tępotę.

– Jak mi życie miłe! – powtarzał nieraz, przyglądając się jej uważnie. – Niekiedy mam wrażenie, że to dziecko jest tak mało rozwinięte, jak jej ciotka Eliza!

Jeżeli owa ciotka Eliza służyła z tego, iż uczyła się każdej rzeczy z wielkim mozolem, by niebawem zapomnieć o niej doszczętnie, to Ermengarda była uderzająco do niej podobna, toteż opinia powszechna uważała ją za najślabszą uczennicę w całej szkole.

– Trzeba ją zmuszać do nauki – powiadał jej ojciec do miss Minchin. Rezultatem tych słów było, że Ermengarda większą część swego życia wiodła w płaczu lub strapieniu. Uczyła się różnych rzeczy – i natychmiast je zapominała, a jeżeli nawet zdołała zapamiętać, to nie rozumiała ich wcale. Nic więc dziwnego, że poznawszy Sarę, wpatrywała się w nią oczyma szeroko otwartymi ze zdumienia.

– Ty... umiesz mówić po francusku? – zapytała tonem pełnym bezmiernego szacunku.

Sara podeszła ku głębokiej i szerokiej wnęcie okiennej i usiadła na niej **po turecku**, obejmując kolano splecionymi dłońmi.

– Umieję... bo język ten słyszałam wciąż od urodzenia – odpowiedziała. – Ty byś też umiała nim mówić, gdybyś go stale słyszała w domu.

– O, nie – wzdrygnęła się Ermengarda. – Ja bym nigdy nie potrafiła nim mówić!

– Czemu? – zapytała Sara z ciekawością.

Ermengarda wstrząsnęła głową, aż jej się warkoczyk zakołysał.

– Przecież słyszałaś mnie podczas lekcji – odpowiedziała. – Ja zawsze jestem taka. Nie umiem wymawiać słów francuskich... takie są dziwaczne...

Milczała przez chwilę, po czym zapytała z lękiem w głosie:

– Czy ty jesteś mądra?

Sara wyrzrzała przez okno na posępny plac, gdzie na zmokłych poręczach balkonów i czarnych od dymu gałęziach drzew skakały świergotliwe wróble. Zastanowiło ją pytanie koleżanki.

Już dawniejszymi czasy nieraz Sara słyszała w odniesieniu do siebie przydomek **mądrej**; pragnęła wiedzieć, czy istotnie na niego zasługuje – i czemu by tę mądrość przypisać należało.

– Nie wiem – odezwała się. – Nie umiem ci na to odpowiedzieć.

Widząc smutek na okrągłej, puciołowatej twarzyczce towarzyszki, zaśmiała się z lekka i zmieniła temat rozmowy.

– Czy chciałabyś zobaczyć Emilkę?

– Któż to jest ta Emilka? – zapytała Ermengarda tym samym tonem, jakiego poprzednio użyła miss Minchin.

– Chodź do mojego pokoju, to zobaczysz – odpowiedziała Sara, wyciągając rękę.

Zeskoczyły z parapetu okna i poszły razem na górę.

– Czy to prawda – szeptała Ermengarda, gdy przechodziły przez korytarz – czy to prawda, że masz dla siebie osobny pokój do zabawy?

– Tak – odpowiedziała Sara. – Tatuś prosił miss Minchin o pokój osobny dla mnie, bo... bo gdy się bawię, to sobie układam i opowiadam różne powiastki... a nie lubię, by mnie podsłuchiowano... to psuje mi zabawę.

Ermengarda stanęła jak wryta, wytrzeszczywszy oczy i ledwie śmiejąc oddychać.

– Ty **układasz** powiastki! – westchnęła. – Czy ty to umiesz... tak jak mówić po francusku...? Sara spojrzała na nią, szczerze zdumiona.

– Przecież układanie powiastek to nic trudnego... Czy nigdy nie próbowałaś tego robić?

Ujęła ostrzegawczo dłoń Ermengardy.

– Podejdźmy cichutko do drzwi – szepnęła – a potem ja nagle je otworzę. Może uda się nam ją przyłapać.

Na jej twarzyczce igrał uśmiech, ale w oczach lśnił promyk tajemniczej ufności, który dziwnie podziałał na Ermengardę, mimo że nie miała najmniejszego pojęcia, co to wszystko znaczy ani też nie wiedziała, kogo i dla jakiej przyczyny zamierzała Sara **przyłapać**. W każdym razie kryła się w tym niewątpliwie jakaś wspaniała i intrygująca niespodzianka, toteż Ermengarda drżała w napięciu oczekiwania, idąc na paluszkach za Sarą przez korytarz. Tak bez szelestu dotarły aż do samych drzwi. Wówczas Sara nagle nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi na oścież. Oczom przybyłych ukazał się pokój najzupełniej cichy i spokojny, w którym wszystko było na właściwym miejscu. Obok kominka, na którym łagodnie tlił się ogień, siedziała na krzeselku prześliczna lalka, niby to zaczytana w leżącej przed nią książce.

– Oho! Już wróciła na krzeselko, zanim zdążyliśmy ją podpatrzeć! – zawołała Sara. – One tak zawsze robią! Potrafią przebiec przez pokój prędko jak błyskawica.

Ermengarda jęła patrzeć to na nią, to na lalkę.

– Czy ona umie... chodzić? – zapytała stłumionym głosem.

– Tak – odpowiedziała Sara. – Ja w to wierzę... przynajmniej udaję, że wierzę... a przez to wydaje mi się, że to wszystko jest prawdą. Czyś ty nigdy nie udawała niczego?

– Nie!... Nigdy! – odparła Ermengarda. – Wy tłumacz mi to wszystko.

Tak była oszołomiona tą nową, dziwną znajomością, że patrzyła wciąż na Sarę, zamiast na Emilkę – mimo że Emilka była najpiękniejszą lalką, jaką zdarzyło się jej widzieć.

– Siądź, to ci opowiem – rzekła Sara. – Jest to rzecz tak łatwa i przyjemna, że gdy ją rozpoczniesz, nie potrafisz się jej wyrzec, tylko będziesz wciąż do niej wracała. Emilko i ty posłuchaj. Oto jest panna Ermengarda St. John. Ermengardo, oto Emilka. Czy chciałabyś wziąć ją na rękę?

– Ach, to mi wolno ją wziąć na rękę? – zawołała Ermengarda. – Wolno mi naprawdę? Jakaż ona piękna!

Z lalką w objęciach Ermengarda spędziła jedną z najpiękniejszych godzin swego krótkiego żywota, słuchając przedziwnych opowieści swej towarzyszki, póki nie odezwał się dzwonek wzywający na obiad. Sara przysiadła w kucki na dywanie przed kominkiem, a jej zielone, duże oczy i nabiegłe rumieńcem policzki pały żywo. Opowiadała i o Indiach i o przebytej podróży – największe jednak wrażenie na słuchającej uczyniła zmyślona opowieść o lalkach, które chodzą, rozmawiają i robią, co im się żywnie podoba, póki ludzi nie ma w pokoju, a z ich nadejściem zmykają **błyskawicznie** na swe dawne miejsce, nie chcąc zdradzić przed nikim, co umieją.

– My byśmy tego nie potrafiły – dodała Sara. – To sztuczka czarnoksięska!

Gdy Sara opowiadała o poszukiwaniach, mających na celu znalezienie Emilki, Ermengarda zauważyła nagłą zmianę w jej twarzy – jakąś jakby chmurę, która przemknęła nad jej brwiami, gasząc blask promieniejących oczu. I głos Sary się zmienił – brzmiał cicho i smutnie; stłumiła oddech, a potem zacisnęła mocno wargi, jak gdyby powzięła nagle jakąś stanowczą decyzję. Inna dziewczynka na jej miejscu na pewno wybuchnęłaby w tej chwili gwałtownym płaczem i szlochaniem; Sara jednak – ku zdziwieniu Ermengardy – umiała się od tego powstrzymać.

– Czy ciebie... coś boli? – odważyła się zapytać Ermengarda.

– Tak – odpowiedziała Sara po chwili milczenia. – Ale to nie jest ból cielesny.

Po chwili zapytała głosem cichym, któremu starała się nadać spokojny ton:

– Czy i ty kochasz swojego tatusia nad wszystko w świecie?

Ermengarda otworzyła usta w zdumieniu. Wiedziała, iż z zachowaniem się uczennicy wzorowej pensji nie licuje oświadczenie, że nie przyszło jej nigdy na myśl, by można było kochać ojca i nie unikać bytności z nim sam na sam choćby przez dziesięć minut. Była naprawdę wielce zakłopotana.

– Ja... ja prawie go nie widuję – wyjąkała. – On wciąż tylko siedzi w bibliotece... i czyta różne książki.

– Ja kocham mego tatusia ponad wszystko w świecie – oświadczyła Sara. – I to mnie właśnie boli, że tatuś odjechał.

Złożyła główkę na podwiniętych kolanach i siedziała cicho przez kilka minut.

– Zaraz się rozplacze – pomyślała Ermengarda.

Ale Sara nie rozplakała się. Siedziała spokojnie, a krótkie, czarne włosięta rozsypały się jej dokoła uszu. Naraz<sup>17</sup> przemówiła, nie podnosząc główki:

– Obiecałam mu, że zniosę to cierpliwie... i dotrzymam przyrzeczenia. W życiu trzeba dużo znosić. Pomyśl sobie, ile muszą znosić żołnierze! Mój tatuś jest żołnierzem. Gdyby wybuchła wojna, musiałby odbywać uciążliwe marsze, cierpieć pragnienie, może nawet odniósłby ciężką ranę... i nie powiedziałby ani słowa.

Ermengarda nic nie mówiła, tylko wlepiła w nią szeroko otwarte oczy, ale w duszy poczuła dla niej ogromny szacunek i uwielbienie; tak dziwnej i niezwykłej koleżanki nie zdarzyło się jej widzieć nigdy w życiu.

Nagle Sara spojrzała w górę, uśmiechnęła się dziwnie i wstrząsnawszy czarnymi loczkami odezwała się:

– Gdy będę tak wciąż gwarzyła<sup>18</sup> z tobą i opowiadała ci różne zmyślane historie, to mi tu jakoś łatwiej będzie przeżyć tę rozłąkę. Ty też pewno nie zapomnisz o domu... ale łatwiej będzie ci znosić to wszystko...

Ermengarda poczuła, że gardło ścisnęło się jej nie wiedzieć czemu, a w oczach jakby pojawiły się łezki.

– Lawinia i Jessie są **najserdeczniejszymi przyjaciółkami** – odpowiedziała ochryplym głosem. – Bardzo bym chciała być dla ciebie taką serdeczną przyjaciółką. Czy chcesz mnie za nią uważać? Ty jesteś bardzo mądra, a ja jestem najgłupszą uczennicą w szkole... ale... ale ja ciebie tak kocham!

– Bardzo się z tego cieszę – zapewniła ją Sara. – Tak, będziemy przyjaciółkami. I wiesz co? – (tu nagle promyk radości rozjaśnił jej buzię) – będę ci pomagała w odrabianiu lekcji francuskiego.

---

<sup>17</sup> naraz (daw.) – nagle. [przypis edytorski]

<sup>18</sup> gwarzyć (daw.) – rozmawiać. [przypis edytorski]

## Lottie

Gdyby na miejscu Sary była inna dziewczynka, na pewno by ją zepsuł tryb życia, jaki wiodła przez kilka lat na wzorowej pensji miss Minchin. Albowiem traktowano ją tu nie jak zwykłą uczennicę, ale niby jakiegoś dostojnego gościa. Gdyby była zarozumiałym, do rozkazywania przyzwyczajonym dzieckiem, pewno by to ustawiczne<sup>19</sup> dogadzanie i pobłażanie uczyniło ją wręcz niezdolną; gdyby była dzieckiem umysłowo ograniczonym, na pewno niewiele przykładałaby się do nauki. Miss Minchin nie lubiła jej osobiście, ale była zanadto obyta w świecie i sprytna, by miała zrobić lub powiedzieć coś takiego, co by w tak pod każdym względem pożądaney uczennicy mogło obudzić chęć opuszczenia jej szkoły. Wiedziała doskonale, że gdyby Sara doniosła tatusiowi, że czuje się niezadowolona lub nieszczęśliwa, kapitan Crewe zabrałby ją stąd natychmiast. Miss Minchin była przekonana, że dziecko, które otrzymuje wciąż pochwały i któremu nigdy nie zabrania się czynić, co mu się żywnie podoba, na pewno przywiąże się do miejsca, gdzie w ten sposób z nim się obchodzą. Toteż chwalono Sarę za jej bystrość, za pilność i staranne odrabianie lekcji, za dobre maniery, za uprzejmość w stosunku do koleżanek, wreszcie i za szczodroblivość, ilekroć z pełnej sakiewki dała sześć pensów żebrakowi. Najdrobniejszy z jej uczynków sławiono niby wielką cnotę – i gdyby była dziewczynką mniej rozsądną, na pewno przewrócono by jej w głowę. Atoli<sup>20</sup> rozsądek i zmysł spostrzegawczości zawsze odślaniał Sarze istotną prawdę co do niej samej i otoczenia; oto jak czasami zwierzała się Ermengardzie:

– Wiele rzeczy dostaje się ludziom tylko przypadkiem. Tak było i ze mną. To tylko traf, że zawsze lubiłam lekcje i książki, i że zdołałam zapamiętać to i owo, czego się uczyłam. To tylko traf, że jestem córką tak miłego i mądrego tatusia i że on może mi dawać wszystko, na co mam chętkę. Mówią, że mam dobre usposobienie; jakże go nie mieć, gdy się posiada wszystko, czego dusza zapagnie i wszyscy okazują mi tak wielką życzliwość? Doprawdy, nie wiem, jak mam się przekonać, czy jestem naprawdę dobrą, czy niedobrą dziewczynką. Może jestem bardzo złym dzieckiem, ale nikt tego nie potrafi stwierdzić... bo nigdy nie doznałam żadnych przeciwności.

– Lawinia też nie doznaje żadnych przykrości – zauważyła Ermengarda – a mimo to jest niegrzeczna.

Sara potarła koniuszek nosa i zamyśliła się.

– Tak, tak – odpowiedziała na koniec – może... może to dlatego, że Lawinia zbyt szybko rośnie.

Powiedzenie to było echem podsłuchanej rozmowy, w której miss Amelia wyraziła się, że Lawinia rośnie tak prędko, iż może się to odbić na jej zdrowiu i usposobieniu.

Lawinia istotnie była dziewczynką niegrzeczna, a przy tym niesłuchanie zazdrosną w stosunku do Sary. Przed przybyciem tej nowicjuszeki wodziła rej w szkole – zwłaszcza, że umiała boleśnie dać się we znaki tym, które nie chciały iść za nią. Tyranizowała małe dziewczynki, a zadzierała dumnie nosa wobec rówieśniczek. Ponieważ odznaczała się urodą i ubierała się bardzo strojnie, ilekroć dziewczynki z pensji miss Minchin wychodziły parami na miasto, szła zawsze na czele tego pochodu. Zmieniło się to jednak z chwilą, gdy w szkole pojawiły się welwetowe sukienki Sary, jej sobolowe kołnierze i kapelusik ze strusimi piórami. Już to samo było dla Lawinii powodem rozgoryczenia; na domiar złego okazało się niebawem, że Sara cieszy się również wielkim mirem<sup>21</sup> wśród koleżanek – i to nie dlatego, że potrafi dokuczać, ale owszem dlatego, że nigdy nie dokuczyła nikomu.

– Jedna rzecz mi się podoba u Sary Crewe – mówiła szczerze Jessie, pobudzając tym do wściekłości swą **najserdeczniejszą przyjaciółkę**. – Ona nigdy nie wywyższa się ponad inne, choć mogłaby to czynić... Ja na pewno nie byłabym taka, gdybym miała tyle błyskotek i gdyby ze mną

<sup>19</sup> *ustawiczny* (daw.) – ciągły. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *atoli* (daw.) – lecz, jednak. [przypis edytorski]

<sup>21</sup> *mir* (daw.) – szacunek. [przypis edytorski]

robiono tyle ceregieli. Aż niemiło patrzeć, jak miss Minchin popisuje się nią, ilekroć przyjdą jacyś goście.

– „Saro, moja droga, musisz iść do salonu i opowiedzieć pani Musgrave o Indiach” – zaczęła Lawinia przedrzeźniać sposób przemawiania miss Minchin. – „Saro, moja droga, porozmawiaj z panią Pittkin po francusku. Ona ma tak wyborny akcent”. W każdym razie nie jest zasługą naszej pensji, że Sara tak dobrze mówi po francusku. Nie jest to nawet zasługa jej samej. Sama przecież się przyznaje, że jej nie uczono tego języka, tylko przyswoiła go sobie ot tak niechcący, bo jej ojciec często nim się posługiwał. Co się zaś tyczy jej ojca, to też niewielka zasługa być oficerem w Indiach.

– Tak – odrzekła z rozwagą Jessie – ale on polował na tygrysy. Skórę jednego z upolowanych przez niego tygrysów Sara ma w swoim pokoju i ogromnie jest do niej przywiązana. Często kładzie się na niej, głaszcze łeb tygrysa i rozmawia z nim jak z kotem.

– Jej zawsze się trzymają podobne głupstwa – warknęła Lawinia. – Moja mamusia powiada, że ten jej obyczaj wymyślania różnych dziwnych historii jest wprost niedorzeczny. Ona wyrośnie na wielką dziwaczkę.

W tym, co koleżanki mówiły o Sarze, było wiele prawdy. Nie miała ona zwyczaju wywyższać się ani drzeć nosa do góry, owszem była zawsze uprzejma i uczynna dla wszystkich. Nigdy nie dokuczała mniejszym od siebie dziewczynkom, nie spychała ich z drogi ani nie upokarzała przytykiem do ich młodego wieku; na odwrót, okazywała im tkliwość prawdziwie macierzyńską, a gdy któreś z tych maleństw przewróciło się i potłukło sobie kolanka, nie omieszkała<sup>22</sup> podbiec ku niemu, podnieść z ziemi i pogłaskać, albo obdarzyć je wyciągniętym z kieszeni cukierkiem czy innym smakołykiem.

– Gdy ktoś ma cztery lata, jest jeszcze maleństwem – przemówiła pewnego razu surowo do Lawinii, gdy ta wybiła Lottie i nazwała ją **smarkaczem**; – ale za rok będzie miał już pięć lat, a w roku następnym sześć. A tylko szesnastu lat mu brakuje – (to mówiąc, z przekonującym wyrazem otwarła szeroko oczy), – żeby stał się osobą dwudziestoletnią.

– Pocziwina! – zaśmiała się Lawinia. – Jak to ona umie rachować!

Istotnie trudno zaprzeczyć, że szesnaście i cztery daje w sumie dwadzieścia – a dwadzieścia lat był to wiek, o jakim ledwie że marzyć się ośmielały najodważniejsze spośród dziewczynek.

Toteż młodsze dziewczynki uwielbiały Sarę. Kilka razy urządziła w swym pokoju podwieczorek, na który zaprosiła te wzgardzone przez wszystkich istotki. W zabawie brała też udział Emilka, pozwalając korzystać ze swego serwisu, zdobnego w błękitne kwiatki i mogącego pomieścić znaczną ilość herbaty z mlekiem. Takiego serwisu nikt jeszcze nie widział u żadnej z lalek, toteż od czasu owego balu dziecięcego Sara uchodziła jakby za królową czy wróżkę w oczach całej podwstępnej<sup>23</sup> klasy.

Szczególnie Lottie Legh uwielbiała ją do tego stopnia, że gdyby Sara nie miała dla niej wprost macierzyńskiej tkliwości, na pewno by się jej sprzykrzył ten nadmiar uwielbienia. Lottie znalazła się w szkole tylko dlatego, że jej ojciec, człowiek młody, a trochę lekkoduch, nie wiedział, co ma z nią zrobić. Matka ją odumarła, a że z dzieciną obchodzono się jak z lalką lub rozpieszczonym pieskiem pokojowym, więc maleństwo stało się bardzo uprzykrzone i nieznośne. Płakała o byle co, a czasem i bez powodu, a ponieważ napraszała się różnych rzeczy, które nie zawsze były dla niej odpowiednie, więc jej przeraźliwy głosik nader często rozlegał się to w tej, to w innej części domu.

Najskuteczniejszą jej bronią było dziwnym jakimś sposobem dokonane odkrycie, że mała dziewczynka, która straciła matkę, powinna być stale przedmiotem współczucia i opieki. Z tego odkrycia, którego źródłem była niewątpliwie podsłuchana rozmowa ludzi starszych, nie omieszkała czynić użytku, ilekroć nadarzała się po temu sposobność.

Pierwszy raz Sara roztoczyła nad nią opiekę, gdy przechodząc pewnego dnia koło jednej z salek naukowych, posłyszała, jak miss Minchin i miss Amelia starały się uciszyć gniewny płacz jakiegoś

---

<sup>22</sup> *nie omieszkać* (daw.) – nie zaniedbać czegoś, zrobić coś. [przypis edytorski]

<sup>23</sup> *podwstępny* – tu: początkowy. [przypis edytorski]

dziecka, które ani rusz nie chciało się uspokoić, lecz beczało tak głośno, że miss Minchin, chcąc być słyszaną, musiała niemal krzyknąć.

– Czegóż ona płacze? – pytała.

– Och... och... och! – posłyszała Sara. – Ja nie mam wcale ma-mu-si!...

– Ach Lottie! – zawołała miss Amelia. – Przestańże już raz! Nie płacz, nie płacz, proszę!

– Och!... och! Och! – zaniosła się Lottie gwałtownym płaczem. – Ja... nie mam... ma-mu-si!

– Trzeba jej dać w skórę – oznajmiła miss Minchin. – Zaraz dostaniesz w skórę, niegrzeczna dziewczyno!

Lottie poczęła beczeć jeszcze głośniejsze. Miss Minchin podniosła głos, aż się rozległo echo po całej szkole; w końcu w bezsilnym oburzeniu zerwała się z krzesła i wypadła z pokoju, zdając resztę sprawy na miss Amelię.

Sara zatrzymała się na korytarzu, zastanawiając się, czy ma wejść do pokoju. Niedawno zawarła przyjacielską znajomość z Lottie, więc bardzo pragnęła ją uspokoić.

Miss Minchin, wyszedłszy z pokoju i ujrawszy Sarę, stropiła się wielce. Zdawała sobie sprawę, że głos jej, dobywający się z głębi pokoju, nie brzmiał ani miło, ani dostojnie:

– Ach, to ty, Saro! – zawołała, starając się okraszyć twarz jak najuprzejmiejszym uśmiechem.

– Stałam tutaj – zaczęła mówić Sara – bo usłyszałam głos Lottie... i pomyślałam sobie, że może... ale tylko może... potrafię ją uspokoić. Czy mogłabym spróbować, proszę pani?

– Spróbuj... o ile potrafisz. Ty jesteś mądrą dziewczynką! – odpowiedziała miss Minchin, ściągając ostro usta; widząc jednak, że Sarę zmroziła szorstkość odpowiedzi, zaczęła z innego tonu: – Tak, jesteś rozsądna we wszystkim. Zapewne uda ci się uzyskać wpływ na nią. Wejź do pokoju.

Gdy Sara, pożegnawszy przełożoną, weszła do pokoju, ujrzała Lottie leżącą na podłodze, zanoszącą się od płaczu i zawzięcie tupiącą tłustymi nożętami. Miss Amelia, zziębnięta i czerwona ze zmęczenia, pochyliła się nad nią z rozpaczą i zakłopotaniem, próbując bezskutecznie wszelkich środków, by ją uspokoić.

– Biedactwo! – przemawiała tkliwie w jednym momencie. – Wiem, że nie masz mamusi, biedna...

A za chwilę odzywała się już zgoła innym tonem:

– Jeżeli nie przestaniesz beczeć, Lottie, to cię wybiję. Biedny aniołeczku! No, cichaj, cichaj! ... Ej ty nieznośna, niegrzeczna dziewczyno, zobaczysz, jak ci dam w skórę! Zobaczysz!

Sara podeszła ku nim spokojnie. Nie wiedziała jeszcze, jaki obierze sposób postępowania, w każdym razie miała w duszy niejasne przeświadczenie, że takie bezradne i nerwowe powtarzanie krańcowo sprzecznych z sobą powiedzeń bynajmniej nie prowadzi do celu.

– Miss Amelio – odezwała się szeptem. – Miss Minchin prosiła, żebyśmy spróbowała ją uspokoić... Czy pani mi pozwoli?...

Miss Amelia odwróciła się i spojrzała na nią beznadziejnie.

– Co? Sądzisz, że ci się to uda? – westchnęła.

– Nie wiem, czy mi się uda – odpowiedziała półgłosem Sara. – W każdym razie spróbuję.

Miss Amelia z ciężkim westchnieniem podniosła się z klęczek, a Lottie wciąż w najlepsze wierzyła tłustymi nożkami.

– Jeżeli pani wyjdzie cicho z pokoju – rzekła Sara – to ja z nią tu pozostanę.

– Ach, Saro! – zajęczała miss Amelia. – Tak okropnego dziecka jeszcze u nas nie było. Zdaje mi się, że nie będziemy mogły jej dłużej trzymać!

Ostatecznie wymknęła się z pokoju, wielce rada<sup>24</sup>, że znalazła po temu sposobność. Sara przez kilka chwil wpatrywała się w nadąsane, rozwrzeszczane dziecko, nie mówiąc ani słowa; następnie siadła koło niej na ziemi i czekała, co dalej będzie. W całym pokoju – pominawszy gniewne krzyki Lottie – panowała zupełna cisza. Taki stan rzeczy wydał się dziwny małej pannie Legh, która

---

<sup>24</sup> rad (daw.) – zadowolony. [przypis edytorski]

nawyka<sup>25</sup> do tego, by wrzaskom jej wtórowały prośby, groźby, nakazy i tkliwe namowy innych ludzi. Uderzyło ją przeto, że jedyna osoba, znajdująca się przy niej, wcale nie zwraca uwagi na jej kopanie, tarzanie się po ziemi i przeraźliwe wrzaski. Otworzyła zaciśnięte, łzami nabiegłe powieki, by zobaczyć, kim zaczęła być ta osoba. Okazało się, iż była nią druga, mało co od niej większa, dziewczynka – ta właśnie, która miała Emilkę i tyle innych ładnych rzeczy; ona to siedziała przy niej i wpatrywała się w nią, jakby o czymś rozmyślając. Przycichłszy na parę sekund, żeby to sobie uświadomić, Lottie zamierzała rozpocząć nową serię płaczu, ale cisza panująca w pokoju oraz dziwna, skupiona twarz Sary sprawiły, że pierwszy krzyk miał brzmienie jakby bojaźliwe i nieśmiałe.

– Ja... nie... mam... mamusi! – oznajmiła, ale głosem już znacznie cichszym.

Sara wpatrzyła się w nią jeszcze uważniej, ale jakby z błyskiem zrozumienia w oczach.

– I ja też nie mam – odpowiedziała.

Odpowiedź ta była tak niespodziewana, że oszołomiona nią Lottie w jednej chwili opuściła nóżki na ziemię, wyciągnęła się jak długa i szeroko otworzyła oczy. Gdy inne środki zawiodą, najlepszym sposobem na uspokojenie płakasy bywa zwrócenie jego uwagi na inny przedmiot. Zważyć też należy, że o ile Lottie nie darzyła sympatią opryskliwej miss Minchin ani nadmiernie płaczącej miss Amelii, o tyle lubiła Sarę, choć mało ją jeszcze знаła. Choć więc nie myślała zrezygnować ze swego strapienia, jednakże już oderwała od niego swoje myśli; przeciągnęła się ponownie i zaszlochawszy głucho, zapytała:

– A gdzie jest twoja mamusia?

Sara zamilkła na chwilę. Opowiadano jej, że mamusia przebywa w niebie; ona jednak po dłuższych rozmyśleniach wyrobiła sobie pogląd nieco odmienny na tę sprawę.

– Poszła do nieba – odpowiedziała. – Ale jestem tego pewna, że ona czasami przychodzi, żeby mnie zobaczyć... choć ja zobaczyć jej nie mogę. To samo robi i twoja mamusia. Być może, że w tej chwili obie są w tym pokoju i patrzą na nas.

Lottie usiadła i rozejrzała się wkoło. Była ładną, drobną istotką o kędzierzawej czuprynce, a okrągłe jej oczy miały barwę niezapominajek. Jeżeliby matka widziała ją w ciągu ostatniej pół godziny, na pewno by nie pomyślała, że jej dziecko tak jest podobne do aniołka.

A Sara snuła dalszy ciąg swej przemowy. To, co mówiła, niejedynemu człowiekowi poczytałoby za piękną bajkę, jednakże w jej wyobraźni przedstawiało się tak prawdziwie, że Lottie chcąc nie chcąc poczęła się przysłuchiwać. Dotychczas opowiadano jej, że mamusia ma skrzydełka i aureolę, i pokazywano jej obrazki, które przedstawiały istoty w białych powłóczystych szatach, zwane aniołami. Natomiast Sara opowiadała jej jakby jakąś prawdziwą opowieść o przepięknym kraju, gdzie żyją prawdziwi ludzie.

– Są tam wielkie łąki pełne kwiatów – mówiła, zapominając się zupełnie, jak zwykle w podobnych razach i jakby majacząc we śnie – całe łany lili... rozlewa się miły zapach w powietrzu... i wszyscy oddychają tym zapachem, bo ten wietrzyk wieje bez ustanku. A małe dzieci biegają po tych łąkach liliowych, zbierają całe naręcza kwiatów, śmieją się i splatają wianki. A wszystkie drogi i ulice błyszczą i połyskują... i choćby ktoś szedł nimi nie wiedzieć jak daleko, nigdy nie bywa zmęczony... Wolno tam każdemu chodzić, gdzie mu się podoba... Dokoła miasta są mury z pereł i ze złota, ale tak niskie, że ludzie mogą opierać się na nich jak na poręczach balkonów, spoglądać w stronę ziemi, uśmiechać się do niej i przysyłać na nią miłe wieści.

Jakąkolwiek opowiadano by powiastkę, Lottie niewątpliwie słuchałaby jej z zachwytem i pod jej wrażeniem zapomniaby o płaczu; jednak bajka, którą słyszała w tej chwili, była niezaprzeczenie najpiękniejsza ze wszystkich dotychczasowych. Lottie przytuliła się do Sary i łowiła uchem każde słowo. Niestety wszystko w świecie się kończy – skończyła się i bajka. Lottie tak się zmartwiła tym – wedle niej zbyt rychłym zakończeniem, że znów wykrzywiła usta w podkówkę.

– Ja chciałabym tam pójść – zakwiliła. – Ja... tu... w tej szkole... nie mam mamusi...

<sup>25</sup> nawyknąć – przyzwyczaić się. [przypis edytorski]

Sara zauważyła sygnał ostrzegawczy i ocknęła się ze snu. Ujęła pulchną łapunię dziewczynki i z przymilnym śmiechem przycisnęła ją do serca.

– Ja będę twoją mamusią – odezwała się. – Będziemy się bawiły, że jesteś moją córeczką, a Emilka będzie twoją siostrzyczką.

Na twarzyczce Lottie zaczęły ukazywać się dołki uśmiechu.

– Będzie moją siostrzyczką? – zapytała.

– Tak – odpowiedziała Sara, zrywając się na nogi. – Chodźmy jej to powiedzieć. A potem umyję ci buzię i uczeszę włoski.

Lottie przystała na to z radością i wypadłszy z pokoju, wbiegła z Sarą na schody, zgoła nie pamiętając o tym, że przyczyną niedawnej tragedii była wyrażona przez nią odmowa uczesania się i umycia przed obiadem i wynikłe stąd odwołanie się do groźnego autorytetu miss Minchin.

Od tego czasu Sara stała się przybraną matką swej małej towarzyszki.

## Becky

Niewątpliwie największą zaletą Sary – zaletą, która jej zdobywała większą liczbę zwolenniczek niż cały dostatek oraz wyróżnienie okazywane jej przez miss Minchin – był dar opowiadania baśni i nadawania wszystkiemu, o czym mówiła, pewnego jakby baśniowego kolorytu. Daru tego zazdrościła jej Lawinia i kilka innych dziewczynek; i one jednak nie umiały oprzeć się urokowi, bijącemu z opowiadań Sary. Sara nie tylko umiała opowiadać – ale wprost lubowała się w opowiadaniach. Gdy stanęła lub siadła w kółku przyjaciółek i zaczynała zmyślać niestworzone historie, jej zielone oczki rozszerzały się i nabierały blasku, a policzki pały rumieńcem; ożywiała się do tego stopnia, że – nie zdając sobie sprawy z tego, co robi – zaczynała grać jak aktor na scenie, gestykulując rękami, wyciągając na wszystkie strony swe smukłe ciało i wznosząc lub zniżając głos, zależnie od nastroju opowieści. Zapominała, że przemawia do słuchających rówieśniczek; przestawała<sup>26</sup>, jak na jawie, z wrózkami, krasnoludkami, królami i księżniczkami, o których była mowa w opowieści. Niekiedy, skończywszy opowieść, tak była podniecona, że już tchu złapać nie mogła, tylko przyciskała rękę do drobnej, zdyszanej piersi i śmiała się jakby sama do siebie.

– To wszystko, co opowiadam – mówiła – wydaje mi się nie zmyśleniem, ale rzeczywistością... bardziej rzeczywistą niż sala szkolna i wy wszystkie. Mam wrażenie, jakbym była kolejno wszystkimi osobami, jakie występują w mojej opowieści.

Drugi już rok bawiła<sup>27</sup> Sara w szkole miss Minchin, gdy pewnego mglistego popołudnia, wysiadając z powozu, opatulona w najcieplejsze futerko, spostrzegła w przejściu przez chodnik jakąś małą, szarą postać, co stała na schodkach sutereny<sup>28</sup> i wznosiła ponad nich głowę tak wysoko, że przez kratę poręczy mogła szeroko otwartymi oczyma patrzeć wprost na przybywającą. Ta ciekawość, połączona z lękiem, pociągnęła wzrok Sary w jej stronę. Spojrzawszy na tę szarą, niepozorną, umorusaną buzię, uśmiechnęła się do niej, bo miała zwyczaj uśmiechać się do każdego.

Ale właścicielka umorusanej buzi i szeroko rozwartych oczu widocznie nie miała pewności, czy wolno jej przyglądać się tak dostojnym wychowanicom szkoły, bo zapadła jak mysz pod ziemię i tak prędko pobiegła do kuchni, że gdyby biedactwo nie było tak mizerne i zaniedbane, Sara na pewno roześmiałaby się mimo woli.

Tegoż wieczora, gdy Sara siedziała w rogu sali szkolnej, opowiadając zasłuchanym towarzyszkom jedną ze swych bajek, nagle w drzwiach stanęła nieśmiało ta sama postać. Wniosła paczkę z węglami, zbyt ciężką na jej wątłe siły i przykłękała przed kominkiem, by wygarnąć popiół i podsycić ognisko. Wyglądała czyściej niż wtedy, gdy patrzyła zza poręczy schodków, ale zdawała się równie zalękniona. Widać było, że bała się spoglądać na dziewczynki lub wzbudzić podejrzenie, że przysłuchuje się ich rozmowom. Nie chcąc im przeszkadzać, brała ostrożnie palcami każdy kawałek węgla i nader delikatnie manipulowała pogrzebaczem. Mimo to Sara niebawem zauważyła, że tę dziewczynę ogromnie zaciekawia wszystko, co się dzieje w tym pokoju i że głównym powodem ociągania się z robotą jest chęć pochwycenia choćby paru urywków rozmowy. Stwierdziwszy to, podniosła głos i zaczęła mówić wyraźniej:

– Wodnice płynęły z wolna po zielonej przezroczystej wodnej i ciągnęły za sobą sieć rybacką, splecioną ze sznurów pereł morskich. Księżniczka siedziała na białej skale i przyglądała się im...

Była to przepiękna baśń o księżniczce, która wzbudziła miłość w sercu Wodnika i zamieszkała wraz z nim w jasnej pieczarze pod tonią morza.

---

<sup>26</sup> *przestawać* (daw.) – przebywać. [przypis edytorski]

<sup>27</sup> *bawić* (daw.) – przebywać gdzieś. [przypis edytorski]

<sup>28</sup> *suterena* (z fr.) – kondygnacja mieszkalna znajdująca się poniżej parteru, częściowo pod ziemią. [przypis edytorski]

Mała posługaczka już raz wymiotła palenisko i zaczęła wymiatać je na nowo. Skończywszy tę robotę, wzięła się do niej niebawem po raz trzeci – ale wnet tak ją skusił czar opowiadania, iż zapomniała o wszystkim w świecie i poczęła nadśluchiwać. Przysiadła na piętach, nie myśląc o pogrzebacz, który zwił bezwładnie z jej dłoni. A głos opowiadającej rozbrzmiewał bez przerwy, wiodąc słuchaczki w kręte groty podwodne, wysypane złocistym piaskiem i rozlśniewające jasnoblękitną światłością; wokoło kołysały się dziwne kwiaty i morskie zioła, a hen w dali dzwoniły ciche gędźby<sup>29</sup> i pieśni...

Pogrzebacz wypadł z chropawych rąk posługaczki. Lawinia Herbert obejrzała się za siebie i rzekła:

– Ta dziewczyna podsłuchuje nasze rozmowy!

Winowajczyni chwyciła pogrzebacz i paczkę z węglami, zerwała się na równe nogi i czmychnęła z pokoju jak spłoszony królik. Sara uniosła się nieco i zawołała:

– Wiem, że podsłuchiwała! I cóż to komu przeszkadza?

Lawinia potrząsnęła głową.

– Tak, tak! – odezwała się. – Nie wiem, czy twoja mama byłaby z tego zadowolona, że opowiadasz bajki służącym. Wiem w każdym razie, że moja mama na pewno by mnie zganiła za podobny postępek.

– Jestem pewna, że moja mama nie miałaby mi tego za złe. Ona wie, że każdy ma prawo przysłuchiwać się powiastkom.

– Zdawało mi się, że twoja mama już nie żyje – odpowiedziała Lawinia. – Jakże więc ona może wiedzieć o czymkolwiek?

– Ty myślisz, że ona o niczym nie wie? – zapytała ją Sara poważnym głosem.

– Mamusia Sary wie o wszystkim – zapiszczała Lottie. – Tak samo i moja mamusia... ta druga... bo w naszej szkole moją mamusią jest Sara. Tam koło niej są świecące gościńce i całe łany lilii i każdy może je zbierać. Sara mi o tym opowiada, kiedy mnie kładzie do łóżka.

– Chodź za mną, Lottie – odezwała się Sara, widząc nasrożoną twarz Lawinii. Wyszła z pokoju, nie tyle chcąc uniknąć rozmowy, ile raczej wiedzioną nadzieją, że uda się jej znów spotkać małą posługaczkę. Nie było już jednak ani śladu po niej w całym korytarzu.

– Któż to jest ta dziewczynka, która pali u nas w piecu? – zapytała Sara przed snem pokojówkę.

Mariette zaczęła szczegółowo opowiadać, co wiedziała o małej posługaczce. Okazało się, że to małe, przez wszystkich opuszczone biedactwo przyjęto niedawno do służby jako pomywaczkę kuchenną – choć było raczej wszystkim innym niż pomywaczką. Była to istna dziewczyna do wszystkiego; czyściła buty, szorowała podłogę, myła okna, nosiła węgiel na górę, uprzątała popiół z kominków. Liczyła już sobie lat czternaście, ale sądząc z jej wątłej postaci i drobnego wzrostu, nikt by jej nie dał powyżej dwunastu. Usposobienie miała tak bojaźliwe, że ilekroć ktoś ją zagadnął, jej biedne, wytrzeszczone oczy zdawały się wyskakiwać z oczodołów. Marietta bardzo współczuła jej doli.

– Jak ona ma na imię? – zapytała Sara, która podparłszy piąstkami podbródek, wsłuchiwała się w tę opowieść.

Dowiedziała się, że imię posługaczki brzmiało Becky (Rebeka). Mariette nieraz słyszała rozlegające się na schodach wołanie:

– Becky, zrób to!... Becky, zrób tamto!

Przez jakiś czas po odejściu Marietty Sara siedziała, wpatrzona w ognisko, rozmyślając o losie Becky; poczęła sobie układać opowieść, w której Becky grała rolę nieszczęśliwej bohaterki. Pomyślała sobie, że ta dziewczyna tak wygląda, jakby nigdy w życiu nie jadła do syta – świadczył o tym wyraźnie zgłodniały wyraz jej oczu...

---

<sup>29</sup> *gędźba* (daw.) – muzyka. [przypis edytorski]

Sara miała wielką ochotę spotkać się z nią ponownie, ale przez dłuższy czas nie udawało się jej to wcale, bo choć parę razy widziała ją idącą z jakimś ciężarem przez schody, to jednak ona zawsze tak się spieszyła i tak się bała ludzkich spojrzeń, że niepodobna<sup>30</sup> było ją zagadnąć. Jednak w parę tygodni później, gdy w podobnie mglisty dzień Sara weszła do swego pokoju, ujrzała w nim dziwnie wzruszający obraz. W jej własnym, ulubionym fotelu przed jasno płonącym kominkiem siedziała Becky – z czarną krechą węglową na nosie i paroma równie brudnymi smugami na fartuchu, z przekrzywionym czepkiem na głowie i paczką węgla u stóp na podłodze – i spała twardo, wyczerpana trudem przechodzącym wytrzymałość jej młodego, spracowanego ciała. Dano jej rozkaz, by obeszła i sprzątnęła wszystkie sypialnie. Było ich dużo, więc nabiegała się porządnie przez cały dzień. Pokoje Sary zachowała sobie na sam koniec. Różniły się one zupełnie od reszty pokoi, urządzonych skromnie i prymitywnie. Zwykle uczennice winny były poprzestawać na tym, co było im niezbędnie potrzebne; przeto wygodny i porządnie umeblowany pokój Sary wydawał się Becky istnym cudem wykintu i przepychu, choć w istocie był tylko miłą i jasną pokoiczyzną. Znajdowały się tu przepiękne książki i obrazy oraz różne dziwy, przywiezione aż z Indii. Była tu sofa i niski, miękki fotel – na drugim zaś fotelu siedziała Emilka z miną boginki zasiadającej na tronie czarnoksiężkim. Sprzątanie tego pokoju miało być uwieńczeniem popołudniowej roboty, albowiem Becky zawsze żywiła nadzieję, że dorwie się paru minut, gdy będzie mogła usiąść w miękkim fotelu, rozejrzeć się wokoło i podumać nad szczęśliwą dolą tego dziecka, które posiadało tyle ślicznostek, a w zimne dni chodziło w przepięknych kapeluszkach i futerkach...

Tego dnia, gdy siadła w fotelu, uczucie wypoczynku, jakiego zaznały jej krótkie, zbolące nóżeta, tak było czarowne i rozkoszne, że przyniosło ukojenie całemu ciału – a ciepło i miłe tchnienie ogniska podziały na nią niby jakiś dziwny czar... aż w końcu, zapatrzwszy się w czerwony żar węgla i okrasiwszy<sup>31</sup> zasmoloną buzię mimowolnym uśmiechem, poczęła się kiwać sennie; głowa jej opadła w dół, oczy się przymknęły – i ogarnął ją twardy sen... A choć nie upłynęło więcej niż dziesięć minut, jak bawiła<sup>32</sup> w pokoju, miało się wrażenie, że śpi już tu od stulecia, jak zaklęta księżniczka. Poza tym jednak biedna Becky nie przypominała księżniczki – owszem, wyglądała po prostu, jak zwykle sobie, brzydkie, umorusane i obdarte kuchenne popychadło<sup>33</sup>.

W porównaniu z nią Sara wyglądała na jakieś niezemskie zjawisko. Właśnie niedawno odbywała się lekcja tańca, która była zawsze dla szkoły ważnym zdarzeniem, mimo że urządzano ją przecież co tydzień. Uczennice ubierały się wówczas w najpiękniejsze sukienki, a ponieważ Sara tańczyła nadzwyczaj zgrabnie i była zawsze wysuwana przed inne koleżanki, więc Mariette musiała przystroić ją jak tylko można najwspanialej.

Tego dnia Sara miała na sobie różową sukienkę, a na włosach wianuszek, upleciony przez Mariette z prawdziwych pączków róży. Uczyła się nowego, nader pięknego tańca, więc biegała i fruwała po całym pokoju niby różowy motylek, a radość i ruch zabarwiły jasnym i pogodnym rumieńcem jej twarzyczkę. Wleciawszy w kilku motylach podrygach do pokoju – ujrzała Becky, siedzącą w fotelu i biały jej czepiek przewieszający się przez poręcz.

– O biedactwo! – zawołała na jej widok.

Nie zmartwiła się tym bynajmniej, że na jej ulubionym miejscu rozsiadła się ta brudna, zasmolona dziewczyna – owszem była rada<sup>34</sup>, że ją tu widzi. Podeszła cicho ku niej i stanęła za fotelem. Becky chrapała z cicha.

– Nie chciałabym jej budzić – pomyślała sobie Sara. – Ale miss Minchin będzie się gniewała, gdy się o tym dowie. Zaczekam parę minut.

<sup>30</sup> *niepodobna* (daw.) – nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

<sup>31</sup> *okrasić* – tu: ozdobić. [przypis edytorski]

<sup>32</sup> *bawić* (daw.) – przebywać gdzieś. [przypis edytorski]

<sup>33</sup> *popychadło* (pogardl.) – osoba słaba i wykorzystywana przez innych. [przypis edytorski]

<sup>34</sup> *rad* (daw.) – zadowolony. [przypis edytorski]

Usiadła na rogu stołu i zaczęła bujać zgrabnymi nóżkami w różowych pończoszkach, namyślając się, co by tu należało zrobić. Miss Amelia mogła tu nadejść lada chwila, a gdyby zobaczyła, co się dzieje, na pewno by wyłajała<sup>35</sup> dziewczynę.

– Ależ ona jest tak zmęczona! – myślała sobie Sara.

Z kłopotu wybawił ją kawałek płonącego węgla, który oderwał się od wielkiej bryły i upadł na blachę. Becky zdrygnęła się i z trwożnym westchnieniem otworzyła oczy. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że dotąd spała. Wszak usiadła tylko na chwilę, by rozkoszować się ciepłem i blaskiem ogniska – a oto nagle znalazła się ni stąd, ni zowąd wobec tej strojnej uczennicy, co siedziała obok niej, niby jakaś różowa wróżka, patrząc w nią zaciekawionymi oczyma!...

Zerwała się, pochwyciła czepek i wcisnąwszy go byle jak na głowę, usiłowała czmychnąć. Czuła, iż pozwoliła sobie na czyn karygodny!... Żeby tak bezczelnie wysypiać się w fotelu młodej panienki! Była przekonana, że natychmiast wydalą ją ze służby za to przewinienie! Zapłakała cichutko.

– Ach panienko, panienko łaskawa! – wyjąkała. – Bardzo przeprasom panienkę! Niech się panienka nie gniwo!

Sara zeskoczyła ze stołu i podeszła ku niej.

– Nie bój się – odezwała się jak do równej sobie dziewczynki. – Nic złego się nie stało.

– Ja dyć<sup>36</sup> nie chciałam tego zrobić, łaskawa panienko – broniła się Becky. – Byłam taka zmęczona, a ogień tak ładnie się polił. To... to nie było na złość zrobione...

Sara zaśmiała się przyjaźnie i położyła rękę na jej ramieniu.

– Trudno! Byłaś zmęczona... jeszcze i teraz nie jesteś zupełnie wyspana.

Becky wytrzeszczyła na nią oczy. Tak miłego i serdecznego tonu nie słyszała dotąd w niczym głosie. Nawykła do tego, że przemawiano do niej rozkazująco, łajano ją, a niekiedy targano za uszy... aż tu ta piękna panienka w ślicznej różowej sukience tak na nią patrzy, jakby nie uważała jej wcale za winowajczynię – jakby przyznawała jej, że ma prawo być zmęczona – a nawet zasnąć! Ale najwięcej oszołomiła biedną posługaczkę ta drobna, zgrabna rączyna, która spoczęła na jej ramieniu.

– Panienka... panienka się nie gniwo? – zapytała z westchnieniem. – Czy panienka nie powi tego paniom?

– Nie – zawołała Sara. – Ani mi to w głowie!

Ten strach, który malował się na umazanej węglem twarzyczce, tak wzruszył Sarę, że przejęta dziwną jakąś myślą, jedną z tych, które ją tak często nawiedzały, pogłaskała ją po policzku.

– Przecież obie jesteśmy zupełnie takie same – odezwała się. – Jestem zwyczajną sobie małą dziewczynką, podobnie jak i ty. To tylko przypadek, że ja nie jestem tobą, a ty mną!

Becky nie rozumiała z tego ani słowa. Jej głowina nie mogła pomieścić myśli tak zdumiewających, a wyraz **przypadek** oznaczał w jej języku jedynie takie nieszczęście, gdy kogoś przejechano albo gdy ktoś spadł z drabiny i musiano go zawieźć do **śpitoła**.

– To przypadek, panienko? – bąknęła z szacunkiem.

– Tak – odpowiedziała Sara i przez chwilę przyglądała się jej marząco. Niebawem jednak, uświadomiwszy sobie, że Becky nie rozumiała, o co jej chodzi, zaczęła z innego tonu:

– Czy skończyłaś już robotę? Może byś została tu u mnie przez kilka minut?

Becky ledwo dech mogła złapać ze zdumienia.

– Ja, panienko?... Tutej?

Sara podbiegła do drzwi, otworzyła je i wyjrzawszy na korytarz, zaczęła nadśłuchiwać.

– Nikogo nie ma w pobliżu – oznajmiła. – Jeżeli już zrobiłaś porządek we wszystkich pokojach, to chyba możesz zatrzymać się tu przez chwilę. Myślę... że może... nie pogardzisz ciasteczkami.

---

<sup>35</sup> wyłajać – skrzyczeć. [przypis edytorski]

<sup>36</sup> dyć (gw.) – przecież. [przypis edytorski]

To mówiąc, otworzyła kredensik i wyjęła z niego gruby kawałek tortu. Toż była dla niej radość, gdy zobaczyła, jak smakołyk zaczął znikać wielkimi kęsami w ustach zgłodniałej dziewczynki! Zaczęła z nią rozmawiać, zadawać jej pytania i śmiać się do niej, aż na koniec Becky pozbyła się obaw, a nawet zdobyła się na tę śmiałość, że sama zadała swej towarzyszce kilka – wedle swego mniemania – zuchwałych pytań:

– Cy to... – szepnęła, spoglądając pożądliwie na jej różową sukienkę. – Cy to najlepso suknio panienki?

– To jedna z sukienek, w których tańczę – odpowiedziała Sara. – Ja bardzo ją lubię... a tobie jak ona się podoba?

Becky przez dłuższą chwilę wprost głosu z siebie dobyć nie mogła; w końcu odezwała się z lęklwym szacunkiem:

– Razu jednego tom ja widziała księżniczkę. Stałam se na ulicy koło Coving Garden, w gromadzie ludzisków i przypatrowałam się, jak różne panie i panowie jechali do tyjratru. A była tam jedno pani, której się najwięcej przypatrowano... i tak se jeden drugiemu mówili: „Patrzoj, to księżniczka”. Była to dużo już pannica, ale cało cyrwono... i suknio, i płascysko, i kwiotki. Przypomniała mi się ona od razu, kiej obacyłam łaskawom panienke, jak se panienka siedziała na stole. Bo tyz panienka jest do niej podobno.

– Nieraz przychodziło mi na myśl – odezwała się Sara głosem pełnym namysłu – że chciałabym być księżniczką. Ciekawa jestem, jak to się wtedy człowiek czuje. A może bym tak zaczęła udawać, że nią jestem?

Becky patrzyła na nią z podziwem i jak przedtem, nie rozumiała ani słowa. Ale niebawem Sara otrząsnęła się ze swych rozmyślań i zwróciła się do niej z nowym zapytaniem:

– Becky, czyś ty przysłuchiwała się wtedy mojej opowieści?

– Tak, panienko – przyznała się Becky, nieco zaniepokojona. – Wiedziałam, że mi nie kozali słuchać, ale... ale bajka była tako piekno, ze... nie mogłam wytrzymać...

– Ja chciałam, żebyś ty się przysłuchiwała – rzekła Sara. – Sama nie wiem, jak to objaśnić, ale gdy ktoś opowiada bajkę, to nie ma dla niego rzeczy milszej, jak widzieć, że ludzie chętnie jej słuchają. Czy chciałabyś usłyszeć resztę?

Becky znów oniemiała na chwilę.

– To ja bede mogła jej słuchać? – zawołała. – To tak, kiejbym jo była skólną dziewczyną, panienko! To panienka chce mi opowiedzieć te pieknom bajke o księciu i o białych wodnickach, pluskających się wesoło we wodzie... z takimi gwiozdami we włosach?

Sara skinęła głową.

– Boję się, że teraz nie będziesz miała czasu na słuchanie – odezwała się – ale jeżeli mi powiesz dokładnie, o jakiej porze przyjdiesz do mojego pokoju, ja zawsze postaram się być już tutaj i będę ci opowiadała po kawałku całą bajkę, póki jej nie skończę. Jest to bardzo długa opowieść... a ja będę do niej dodawała coraz to nowe szczegóły.

– No, kiej tak – odpowiedziała Becky z ufnością – to jo juz nie bede bacyła, ze te wagle takie ciężkie... albo ze mnie ta casem kuchorka wytarnosi... bele mi było wolno o tem wsyćkiem myśleć.

– A któż ci broni! – rzekła Sara. – Opowiem ci przecież wszystko od początku do końca.

Gdy Becky schodziła ze schodów, nie była już tą samą Becky, która z trudem gramoliła się na górę, przytłoczona ciężarem węgla. Teraz miała w kieszeni dane jej na zapas ciastko, była syta i ogrzana, ale nie tylko ciastkiem oraz ciepłym ogniska. Było jeszcze coś, co ją ogrzało i nakarmiło. Tym czymś była Sara.

Po jej odejściu Sara siadła znów na rogu stołu, złożywszy stopy na krześle i objąwszy podbródek wspartymi na kolanach rękoma.

– Gdybym była księżniczką – mruzczała sama do siebie – sypałabym hojne datki szaremu tłumowi moich poddanych. Ale nawet, gdy jestem tylko księżniczką **na niby**, mogę czasem zrobić dla

ludzi coś dobrego... ot taką drobnostkę, jak teraz. Ta dziewczynka była tak szczęśliwa, jak gdybym ją obsypała wielkimi szczodrobliwściami.

## Kopalnie diamentów

Niedługo potem zdarzyła się rzecz, budząca powszechne podniecenie. Nie tylko Sara, ale i cała szkoła uznała ją za nader ciekawą i uczyniła z niej główny temat rozmowy na parę tygodni. Oto w jednym ze swych listów kapitan Crewe opowiedział niebywale interesującą historię. Jeden z jego przyjaciół, który kolegował z nim jeszcze w ławie szkolnej, przybył niespodziewanie do Indii, aby go odwiedzić. Był on właścicielem znacznego obszaru ziemskiego, na którym znajdowano diamenty, i właśnie przystąpił do organizowania kopalni. O ile by spełniły się wszystkie jego przewidywania, mógł w krótkim czasie dojść do tak ogromnego majątku, że na samą myśl o nim już człowiekowi mąciło się w głowie. Ponieważ zaś żywił dla swego druha z lat chłopięcych uczucie gorącej przyjaźni, więc dawał mu sposobność do udziału w tych olbrzymich skarbach, czyniąc go powiernikiem i współnikiem swego przedsięwzięcia. Tyle przynajmniej Sara zdołała wyrozumować z listu swojego ojca. Gdyby szło o jakieś inne przedsięwzięcie, choćby najbardziej zyskowne, na pewno i ona sama, i jej towarzyszkę nie zainteresowałyby się zbyt tą wiadomością; jednak wyrażenie **kopalnie diamentów** do tego stopnia przypominało opowiadania z *Tysiąca i jednej nocy*, że nikt nie mógł pozostać obojętnym. Sara była nim wprost oczarowana. Poczęła rozsnuwać przed Lottie i Ermengardą obrazy krętych korytarzy w głębi ziemi, gdzie błyszczące kamienie zdobiły zarówno ściany, jak i strop i podłogę, skąd wyrąbywali je czarni, dzicy ludzie ciężkimi żelaznymi kilofami. Ermengarda była zachwycona tą opowieścią, a Lottie co wieczór nalegała, żeby powtarzać jej wszystko od początku do końca. Jedynie Lawinia wzruszała ramionami i zwierzała się Jessie, że nie wierzy w istnienie kopalni diamentów.

– Moja mamusia ma pierścionek z diamentem, który kosztuje czterdzieści funtów, choć wcale nie jest wielki. Gdyby istniały kopalnie pełne diamentów, wszyscy ludzie staliby się bogaci aż do zbytku.

– Może Sara stanie się bogatą aż do zbytku – zaśmiała się Jessie.

– Ona i tak już w zbytkach się wychowała, choć nie jest bogata – fuknęła Lawinia.

– Zdaje mi się, że jej zazdrościsz – rzekła Jessie.

– O nie, wcale nie! – warknęła Lawinia. – Ale nie wierzę w te kopalnie diamentów.

– No, przecież ludzie muszą je skądś dobywać – odparła Jessie, po czym znów zaśmiała się:

– A co myślisz o tym, co mówiła Gertruda?

– Nie wiem, co mówiła... i nie chcę słuchać, jeżeli to dotyczyło Sary.

– A właśnie dotyczy. Jednym z jej urojeń jest to, jakoby była księżniczką. Odgrywa wciąż jej rolę – nawet w klasie. Mówi, że to jej pomaga do lepszego wyuczenia się lekcji. Chciałaby i z Ermengardą zrobić księżniczkę, ale Ermengarda odpowiada, że jest do tego za gruba.

– Bo też jest za gruba – potwierdziła Lawinia. – A Sara za chuda!

Jessie roześmiała się znowu.

– Ona mówi, że to nie ma nic do rzeczy, jak kto wygląda lub czym się odznacza, bo ważniejsze jest to, co się robi lub co się myśli.

– Coś mi się zdaje, że nawet gdyby była żebraczką, jeszcze by się jej roiło<sup>37</sup>, iż może być księżniczką – odpowiedziała Lawinia. – Wiesz co? Będziemy ją odtąd nazywały **Jej Księżęcą Mością**.

Gdy skończyły się wszystkie lekcje tego dnia, dziewczynki zasiadły przed kominkiem w sali szkolnej i zabawiały się, jak tylko mogły. W tym samym czasie miss Minchin i miss Amelia jadły podwieczorek w pokoiku, do którego nikt prócz nich dwóch nie miał wstępu. O tej godzinie wiodły zawsze długą poufną rozmowę, zwłaszcza o ile nie przeszkadzał im w tym hałas młodszych uczennic, co (trzeba stwierdzić) zdarzało się nader często; w takich wypadkach jednak zazwyczaj wdawały się

<sup>37</sup> jeszcze by się jej roiło – jeszcze by sobie wyobrażała, jeszcze by się ludziła. [przypis edytorski]

w to starsze uczennice i dopiero gdy ich łajania lub rękoczynny nie odnosiły skutku, pojawiała się w drzwiach miss Minchin lub miss Amelia i kładła tamę swawoli. Właśnie gdy Lawinia kończyła swe słowa, drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Sara, za którą – niby mały piesek – dreptała nieodstępna Lottie.

– Już ona tu przylazła z tym nieznośnym dzieciakiem! – syknęła Lawinia. – Skoro ona tak lubi tę małą, to czemu jej nie trzyma w swoim pokoju? Tylko patrzeć, jak się ta płaksa rozbeczy!

Właśnie zdarzyło się, że Lottie ni stąd, ni zowąd zapragnęła bawić się w sali szkolnej i wyprosiła u swej przybranej matki, żeby zabrała ją tam z sobą. Przyłączyła się do gromadki najmłodszych dziewczynek, bawiących się w kącie, natomiast Sara usiadła na ławce pod oknem, otworzyła książkę i zaczęła czytać. Była to książka o rewolucji francuskiej. Niebawem całą uwagę Sary pochłonęło opowiadanie o losach więźniów Bastylli, którzy tak długie lata spędzili w ciemnicy, że gdy ich stamtąd wyzwolono, mieli twarze całkowicie zasłonięte długim, siwym zarostem i już wcale nie pamiętali, jak wygląda świat zewnętrzny, ale byli podobni do ludzi pogrążonych we śnie...

Czytając to, tak daleko odbiegła od sali szkolnej, że doznała przykrego uczucia, gdy nagle głośny płacz Lottie przywołał ją znów do rzeczywistości. Nigdy nie było jej trudniej zapanować nad sobą, jak wtedy, gdy ktoś przerwał jej marzenia.

– Mam wtedy takie uczucie, jakby mnie ktoś nagle uderzył – zwierzyła się pewnego razu Ermengardzie. – We mnie natychmiast budzi się chęć, by odwzajemnić się za to uderzenie... i muszę sobie wszystko prędko przypomnieć, by powstrzymać się od powiedzenia jakiegoś niegrzecznego słówka.

Okazało się, że Lottie ślizgała się po posadzce szkolnej, wskutek czego najpierw pobudziła do gniewu Lawinię i Jessie, a następnie upadła i stłukła sobie tłuste kolanko. Zaczęła więc krzyczeć wniebogłosem i podrygiwać na jednej nóżce, budząc na przemian to współczucie, to nagany ze strony koleżanek.

– Uciszyć mi się natychmiast, ty bekso! Uciszyć się natychmiast! – łajęła ją Lawinia.

– Ja nie jestem beksą... wcale nie! – kwiliła Lottie. – Saro! Saro!

– Jeżeli nie przestanie ryczeć, miss Minchin ją usłyszy i będzie się gniewała! – zawołała Jessie.

– Lottie, moja droga, nie płacz. Dam ci pensa!

– Nie chcę twojego pensa – załkała Lottie i ujrzawszy kropelkę krwi na kolanie, wybuchnęła nowym płaczem.

Sara przebiegła przez pokój i uklękawszy na ziemi, przytuliła do siebie dziecinę.

– Ależ, Lottie – odezwała się do niej. – Przecież mi obiecałaś...

– Ona powiedziała, że ja jestem beksą! – rozbeczała się Lottie.

Sara pogłaskała ją, ale przemówiła do niej głosem stanowczym, który Lottie znała tak dobrze:

– Bo też będziesz nią naprawdę, gdy będziesz tak wciąż płakała, moja Lottie. Przecież obiecałaś...

Lottie pamiętała o swojej obietnicy, mimo to wołała znów głos podnieść:

– Ja nie mam mamusi!... ja **wcale** nie mam mamusi.

– Owszem, masz – rzekła Sara pogodnie. – Czy już zapomniałaś? Czy nie wiesz o tym, że Sara jest twoją mamusią? Czy nie chcesz, żeby Sara była twoją mamusią?

Lottie przygarnęła się do niej, chlipiąc cichutko.

– Chodź i usiądź ze mną przy oknie – mówiła dalej Sara. – Opowiem ci bajkę.

– Opowiesz? – zapiszczała Lottie. – Opowiesz mi... o kopalniach diamentów?!

– O kopalniach diamentów? – oburzyła się Lawinia. – Ach ty mała rozpustnico, jak chętnie bym cię obiała!

Sara zerwała się szybko na równe nogi. Należy sobie przypomnieć, że przerwano jej tak zajmującą lekturę o zdobyciu Bastylli – że musiała nagle oderwać się od książki i pospieszyć z pomocą przybranemu dziecku – a wreszcie, że nie była aniołem i że nie czuła zbyt wielkiej sympatii dla Lawinii.

– No, no! – zawołała, zapalając się. – Ja zaś miałabym wielką chętkę obić ciebie... ale nie myślę cię bić! – dodała, hamując uniesienie. – Nie jesteśmy przecież dziećmi z ulicy. Jesteśmy już na tyle dorosłe, by umieć się lepiej sprawować!

Lawinia natychmiast wyzyskała nadarżającą się jej sposobność:

– Wasza książęca mość ma rację – odezwała się z przekąsem. – Podobno jesteśmy księżniczkami... przynajmniej jedna z nas. Nasza szkoła powinna odznaczać się dobrym tonem, skoro pomiędzy uczennicami ma księżniczkę.

Sara rzuciła się ku niej – i miało się wrażenie, że chce jej porządnie natrzeć uszu. Skłonność do rojeń była radością jej życia – o której nigdy nie rozmawiała z dziewczynkami, których nie lubiła. Jej nowe **urojenie** – o tym, jakoby była księżniczką – było aż nazbyt bliskie jej sercu, więc była na tym punkcie nader drażliwa i nieśmiała, uważała je niemal za tajemnicę; toteż bardzo ją dotknęło, że Lawinia ośmieliła się ośmieszać ją w tym względzie wobec całej niemal szkoły. Zaszumiało jej w uszach, a na policzki wystąpił silny rumieniec. Powstrzymała się jednakże w porę. „Księżniczka nie powinna unosić się złością” – przemknęło jej przez myśl. Opuściła rękę i przez chwilę nie mówiła ani słowa. Następnie wzniosła głowę i przemówiła głosem stanowczym i spokojnym, tak iż wszyscy mogli ją słyszeć:

– Tak, to prawda! Czasami wyobrażam sobie, że jestem księżniczką. Mogę więc i na to się zdobyć, by zachować się jak księżniczka.

Lawinia nie po raz pierwszy przekonała się, że nie potrafi dać Sarze trafnej odpowiedzi. Przyczyna zaś leżała w tym, że ogół przysłuchujących się dziewczynek zawsze jakby brał stronę jej przeciwniczki. I teraz Lawinia widziała, że wszystkie nadstawiają uszek z zainteresowaniem; wszystkie bowiem miały słabość do księżniczki i spodziewały się, że usłyszą o jednej z nich coś więcej, niż dotąd słyszały. Zaczęły więc skupiać się dokoła Sary.

Koniec końców, Lawinia zdobyła się na jedną tylko uwagę, która zresztą wypadła bladawo:

– Wiesz co, moja droga? Gdy wstąpisz na tron, nie powinnaś o nas zapominać.

– Nie zapomnę – odpowiedziała Sara i na tym ucięła rozmowę, wpatrując się spokojnie w Lawinię, której nie pozostało nic innego jak wziąć Jessie pod ramię i wyjść z sali.

Od tego czasu te dziewczynki, które jej zazdrościły, nazywały ją **księżniczką Sarą**, gdy chciały okazać jej szczególną wzdarcę, natomiast te, które ją lubiły, nadawały jej pomiędzy sobą to miano na znak swego przywiązania. Nikt wprawdzie nie wołał na nią „księżniczko” zamiast „Saro”, ale jej wielbicielki wielce radowała barwność i wspaniałość tego tytułu, a miss Minchin, postyszawszy to nazwanie, napomknęła o nim kilkakrotnie wobec odwiedzających ją gości, zdając sobie sprawę z tego, że rzecz taka dodawała splendoru jej szkole.

Becky uważała ów tytuł za rzecz najszustniejszą w świecie. Znajomość, zawarta w ów mglisty dzień, gdy mała posługaczka obudziła się ze strachem w wygodnym fotelu Sary, trwała nadal i stawała się coraz bardziej zażyła, choć miss Minchin i miss Amelia nic prawie o tym nie wiedziały. Zauważyły wprawdzie, że Sara była grzeczna dla posługaczki, ale nie doszła do nich nawet głucha wieść o tych z trudem wydartych chwilach, gdy Becky, błyskawicznie uporawszy się ze sprzątnięciem górnych pokojów, wkraczała do pokoju Sary, składając z westchnieniem ulgi ciężką paczkę węgla na ziemię. W owych chwilach powiastki szły za powiastkami, jak na zamówienie, a różne smakołyki wędrowały bądź do ust Becky, bądź do jej kieszeni jako zapas na noc, którą posługaczka spędzała w swym łóżku na poddaszu.

– Ale muszę je ostrożnie zjadać, proszę panienki – odezwała się pewnego razu – bo kiej ostawię okrusyny, zaro wylądom scury, żeby je pożreć.

– Szczury! – zawołała Sara w przerażeniu. – To tam są szczury?

– Juści, całe gromady, panienko – odpowiedziała Becky takim głosem, jakby mówiła o rzeczy najzwyczajszej w świecie. – Na strychach zawdy bywo wiewa scurów i mysów. Cłek się ta w końcu przyzwyciai do hałasu, który one robiom. Ja to się tak przyzwyciaiłam, że sobie z nich nic nie robie, póki mi nie zacnom biegać po podusce.

– Och! – zawołała Sara.

– Cłek się do wszyckiego przyzwyciai w cas jakisik – mówiła dalej Becky. – I panienka pewnikiem by się przyzwyciała, kieby się urodziła pomywackom. A ja wolę scury nizeli karaluchy.

– I ja bym też wolała – odpowiedziała Sara. – Zdaje mi się, że prędzej bym się pogodziła ze szczurem niż z karaluchem.

Czasami Becky nie odważała się pozostawać dłużej niż parę minut w jasnym i ciepłym pokoju; w takich razach dziewczynki wymieniały między sobą tylko parę słów, po czym małe zawiniątko wędrowało do staroświeckiej torebki, którą Becky nosiła pod fartuchem, przywiązaną do pasa kawałkiem tasiemki. Szukanie i wynajdowanie różnych smakołyków, które można było zapakować w małym zawiniątku, dodawało życiu Sary nowego uroku. Ilekroć wychodziła lub wyjeżdżała na spacer, zawsze rozglądała się skwapliwie po wystawach sklepowych. Gdy po raz pierwszy przyniosła do domu parę pierożków z mięsem, zrozumiała, że teraz dopiero odkryła to, co potrzeba; gdy je wydobyła, oczy Becky zajaśniały radością:

– Ach, panienko! – zamruczała. – To-to bedzie i smacne i pozytywne! Najlepse to, jak sie cłek moze pozywić. Ciastko z kremem to dobra rzecz, ale sie tak rozplywo, jak... panienka pewnie wi, co chce powiedzieć. A to, co mi tera panienka przyniesła, to dopiero cłek pocuje w żołądku.

– No, no! – zawahała się Sara. – Nie wiem, czy ci to wyjdzie na zdrowie, jeżeli będziesz wciąż coś czuła w żołądku... ale sądzę, że się tym pozywisz.

Istotnie była to rzecz pożywna – podobnie jak kanapki z polędwicą, kupione w bufecie restauracyjnym – jak zawijane zrazy i serdelki. Z czasem Becky zaczęła się pozbywać uczucia głodu i zmęczenia, a paczka z węglami już jej się nie wydawała tak nieznośnie ciężka.

Dotychczas Becky prawie nie wiedziała, co to śmiech; nie nastrajało ją do radości jej smutne i ciężkie życie. Sara nauczyła ją śmiać się i śmiała się razem z nią; a chociaż żadna z nich nie zdawała sobie z tego sprawy, ten śmiech był równie **pożywny**, jak pierożki z mięsem.

Na parę tygodni przed dniem jedenastych urodzin Sary, nadszedł od ojca list, jakiś odmienny w tonie – nie nacechowany tą chłopięcą radością i ufnością, jaka dźwięczała w listach poprzednich. Ojciec czuł się jakoś niedobrze i najwidoczniej był przemęczony nawałem spraw związanych z kopalniami diamentów.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.